DUNAJEC

Nowosądecki tygodnik PZPR

Nr 33 (406)
14 sierpnia 1988 r.
Cena 35 zł

PL ISSN
0208-5968
Nr indeksu 35657

Fotoreportaż Janusza Barana z „Łemkowskiej Watry" — str. 9

Anna Szopińska

Druga połowa życia

Do domu Marusarzów — stylowej, gontem krytej góralskiej siedziby wrośniętej we wzgórze Wierszyki na samym końcu ulicy Struga — suchą nogą dojść nie sposób: wpierw olbrzymia kałuża rozlewa się na całą szerokość mostku, potem wyboje i kamienie śliskie od gliny po wczorajszym deszczu. Świeże tynki sąsiedniej „Anny Marii" tym bielsze się wydają w błotnistym otoczeniu.

Ale tu w górach nie wszystko mięknie od wilgoci, gnie się od przeciwnych wiatrów. Tytana skoczni, bohatera kurierskich ścieżek czas naznaczył, lecz nie przygiął.

Puchary rzędem stojące na półkach, medale, których nawet połowa nie zmieściła się w czterech własnoręcznie wystruganych ramach ze szkłem — to ślad życia wypełnionego po równej części trudem i owocem. Powszednie kłopoty, przeciwności losu — nie rozhartowały woli i charakteru. Natura burząca się przeciwko bezsensom, partactwu, gnuśności i wszelkiej złej woli — pomogła utrzymać się w czynności. Ciało wciąż płaci daninę niespotykanemu poczuciu obowiązku, ale satysfakcja ze spełnienia go, radość bycia wśród ludzi — dają spokój sumienia i pogodę ducha.

Wśród sportowych trofeów 75-letniego mistrza są i przedmioty, które chowa się jak największe skarby: medal upamiętniający powstania śląskie (panatka rodzinna zony), pocisk ze zbiorów generała Grota-Roweckiego ofiarowany przez jego bliskich w dowód szacunku, wreszcie symbol lotów — maleńki złoty ptak z rozpo-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4-5)

— Sposób wprowadzenia podwyżek cen w komunikacji miejskiej naszego regionu wywołał sprzeciw. Wojewódzkie Porozumienie Związków Zawodowych miało formalne prawo do zaprotestowania choćby z powodu krótkiego terminu wyznaczonego na konsultacje. Ale prawdziwe powody tkwią głębiej. Na przykład związkowcy z „Glinika" uznali, że dyrekcja Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego powinna wpierw przedstawić koncepcję własnych przedsięwzięć oszczędnościowych, przekonać szczegółowym wyliczeniem o konieczności podrożenia biletów akurat o 9 złotych, i dopiero wówczas zabiegać o większą dotację i przyzwolenie społeczne na zwyżkę cen za swe usługi.

Pasażerowie przypomnieli, że jest to już druga w ciągu roku podwyżka — poprzednio podniesiono opłaty z 9 na 15 złotych, teraz z 15 na 24 złote. Łącznie opłaty za miejskie przejazdy wzrosły więc o przeszło 160 procent.

Nie brakuje głosów, że decyzję powinna podjąć nie stara, lecz nowa Wojewódzka Rada Narodowa. Padają też podejrzliwe pytania, kiedy zlecono druk nowych cenników: czy aby nie przed zakończeniem konsultacji ze związkami zawodowymi? Dociekliwi chcą też wiedzieć, w jakim stopniu potrzeba dotowania WPK zawrotną kwotą miliarda i stu milionów złotych rocznie wynika ze wzrostu cen samochodów, części zamiennych i paliw, a w jakim stopniu kryje niegospodarność wewnątrz przedsiębiorstwa? Czy muszą być utrzymywane wszystkie nierentowne linie i kursy, skoro część autobusów jeździ poza godzinami szczytu — pusto?

Sprzeciw dyktowany jest więc różnymi względami, pewnie nie wszystkie są uzasadnione, ale nie ulega wątpliwości, że

Adam Ogorzałek

Trafiła kosa na kamień

Sytuacja finansowa WPK znana jest od dawna. Był więc czas i na przygotowanie rzetelnego uzasadnienia podwyżek cen, i na dostarczenie tej argumentacji załogom większych zakładów pracy, i na spotkanie się z dziennikarzami, by ich przekonać o swoich racjach. Ani Urząd Wojewódzki, ani dyrekcja WPK nie wykorzystały w pełni tej drogi. Jeszcze raz górę wziął władczy stosunek do społeczeństwa (albo zwykle lenistwo).

Napisałem wyżej, że witam niezgodę na ten sposób wprowadzenia podwyżek z radością. Wydaje mi się mianowicie, że mamy do czynienia z autentycznym przejestesmy oto świadkami interesującego sygnału, którego zlekceważyć nie wolno. Sądzę mianowicie, że tym razem nie idzie o 9 złotych, lecz o stawkę znacznie większą: niechęć do starego, arbitralnego stylu działania, niezgoda na pozorowaną procedurę konsultacji — popchnęła zakładowe organizacje związkowe do legalnego, spokojnie wyrażonego, ale zdecydowanego protestu.

Nie jestem entuzjastą konsultowania wszystkiego, ale w tej akurat sprawie oddolny sprzeciw witam z radością. Bo niby dlaczego nie spróbowano wcześniej wyjść naprzeciw dającym się przewidzieć oporom? Dlaczego nie wyjaśniono wszystkich uwarunkowań ekonomicznych dyktujących ten krok?

budzeniem się w naszym regionie związków zawodowych, które publicznie skorzystały ze swych praw. Ponadto pierwszy raz od dłuższego czasu solidarnie wystąpiły lokalne środki przekazu, zgodnie popierając akcję związkowców. I chyba po raz pierwszy nikt nie próbował dziennikarzy mitygować za zajęcie niewygodnego dla administracji stanowiska.

Niby to drobna sprawa, ale z przyszłej perspektywy może się okazać precedensowa. Mam bowiem nadzieję, że już niebawem każda próba forsowania najsłuszniejszych choćby — ale niedostatecznie obywatelom wyjaśnionych — decyzji, potykać się będzie o sprzeciw. **Kto się wcześniej nie potrudzi, by zjednać sobie opinię publiczną, będzie przegrywał — w radach narodowych, u związkowców, na zgromadzeniach spółdzielców. Dziś nie wystarczy mieć rację, trzeba jej dowieść.**

A już zwłaszcza bez szans będą — wreszcie — ci, którzy próbują nas przechytrzyć pseudodemokratycznymi zagrywkami. Gadaniem o docenianiu partnera związkowego nie ukryje się starego wygodnictwa. Właśnie świadectwem dawnych obyczajów — jeszcze nie wypleniony — było milczenie autorów komunikatu o podwyżce cen biletów autobusowych wówczas, gdy WPZZ opublikowało swój sprzeciw. I nie jest dostatecznym wytłu-

maczeniem tego milczenia urlopowa nieobecność wojewody.

O stylu postępowania dyrekcji WPK niech świadczy następujący „drobiazg". Kiedy znane już były protesty związkowców, dyrektor Tobiasz złożył w sekretariacie naszej redakcji — nie podpisany, bez daty i bez pieczątki — spóźniony komunikat o podniesieniu cen biletów. Wyjaśniliśmy dyrektorowi, jakie zasady obowiązują każde przedsiębiorstwo, które pragnie zamieścić prasowe ogłoszenie. Ponadto wytłumaczyliśmy, że tygodnik ukazuje się raz na siedem dni, a więc nie ma już możliwości opublikowania komunikatu WPK przed wejściem w życie podwyżek cen biletów.

Wydawało się, że dyrektor zrozumiał przystępnie wyłożone powody naszej odmowy. Kilka dni później w siedzibie WPZZ dyr. Tobiasz oświadczył wszakże związkowcom, że nie rozumie dlaczego w „Dunajcu" nie ukazał się jego komunikat.

Jak ocenić takie zachowanie? Czy nie szkoda w ogóle słów?

W średnio przyzwoitych szkołach podstawowych uczy się dzieci formułować urzędowe pisma. Dzięki temu każdy wie, gdzie postawić datę, a gdzie złożyć podpis. Szkoły uczą też prawdomówności.

W średnio przyzwoitych instytucjach sekretarki wiedzą, dlaczego pismo wychodzące opatruje się liczbą dziennika i pieczątką. Żaden urzędnik działający w czystych intencjach nie zapomni o tych elementarnych zasadach postępowania! Wykluczam, by dyr. Tobiasz cokolwiek zapomniał. Cała akcja pt. „podwyżka" rozegrana została po prostu według starego scenariusza; który łatwo rozszyfrować. Dlatego nikt się nie dał nabrać.

Po półroczu

Dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego, **Franciszek Górka**, wynajdywał zamiła nas informacjami. Oto kilka danych z komunikatu o pierwszym półroczu 1988:

Nowosądeckie ma już 681 tysięcy mieszkańców. Wartość produkcji sprzedanej naszego przemysłu przekroczyła 100 mld zł (jest to o 14,3 proc. więcej niż w I półroczu 1987, liczące w cenach stałych; średni wzrost w kraju: 6,3 proc.) Przeciętne miesięczne wynagrodzenie w przemyśle zwiększyło się o ponad 60 procent i wynosi 41,1 tys. zł (łącznie z 6-tysięczną wypłatą z tytułu wzrostu cen).

Produkcja podstawowa w przedsiębiorstwach budowlano-montażowych wzrosła tylko o 3 procent, ale rezultat ten osiągnięto przy 10-procentowym spadku zatrudnienia. Licząc wartość produkcji na jednego zatrudnionego wzrost był 14-procentowy.

Średnie wynagrodzenie — 34,1 tys. zł miesięcznie.

W budownictwie uspołecznionym oddano do użytku 364 mieszkania (dwukrotnie więcej niż w I półroczu 1987), ale jest to dopiero 33,8 proc. planu rocznego. Znacznie więcej — bo 682 mieszkania — uzyskano w budownictwie indywidualnym. Interesującym sygnałem jest wzrost o 64 procent budynków inwentarskich i o 83 procent stodół.

Region wzbogacił się o trzy szkoły podstawowe: w Krakowej Polskiej, Ochotnicy Dolnej i Kasince Małej; rozpoczęto budowę szkoły i przedszkola w sądeckim osiedlu Barskie II b.

Czerwcowy spis rolniczy wykazał (w porównaniu z rokiem ubiegłym) spadek bydła do 226 tys. sztuk (w tym krów o 1,2 proc.) Pogłowie trzody chlewnej osiągnęło 95 tys. sztuk (wzrost o 2,3 proc.). Nastąpił spadek pogłowia owiec (o 3,9 proc.) i kóz (o 3,8 proc.) Dla ustawego. Znaczne punktów skupu dostarczono 17200 ton żywca rzeźnego (o 1 procent mniej niż w analogicznym okresie ub. roku). Aż 87 procent tych dostaw stanowiło bydło; skup żywca wieprzowego — choć jest nadal bardzo niski (1128 ton) — pierwszy raz od dziewięciu lat nie wykazuje tendencji spadkowej. Nadal wzrasta skup mleka (o 11,5 proc. — co jest jednym z najwyższych wskaźników w kraju).

Płony zbiór i ziemniaków szacuje się na poziomie ubiegłego roku. Zbiory w sadownictwie i warzywnictwie będą zdecydowanie lepsze niż w r. 1987.

Stan wkładów oszczędnościowych osiągnął blisko 25 mld zł (przyrost o 3 mld zł).

Listy do partii

Obywatel Józef Brożek
I sekretarz KW PZPR

Gorąco i serdecznie dziękuję za ustosunkowanie się do mego listu, opublikowanego w numerze 29 „Dunajca". Zdaję sobie bowiem sprawę, że ma Pan wiele rozliczych obowiązków, a mimo to znalazł Pan czas na ustosunkowanie się do mego listu, listu prostej robotnicy. Jestem Panu za to ogromnie wdzięczna, a wdzięczność moja ma podwójny wymiar. Otrzymałam bowiem z Zarządu Spółdzielni pismo z dnia 6 lipca 1988 r., w którym zawiadomiono mnie, że realizacja *mojego przydziału i zamiany mieszkań na 1988 r. proponuje się przydział mieszkania kat. M-2, w układzie 2 p + K, o pow. użytkowej ok. 34 m², położonego na II p. w budynku przy ul. Paderewskiego 38/53.*

Tak oto życzenie Pana, zawarte w postscriptum spełniło się, i to tak nagle i nieoczekiwanie, że gdyby nie pełniona przez Pana funkcja, posądziłabym Pana o czarodziejstwo. Jeszcze raz zatem serdecznie i gorąco dziękuję.

Jak każda radość, tak i ta jest jednak zadkoona pewną gorzką chmurą, co sprawia, że czuję się tak, jakbym w swym liście oszukała Pana (a co najmniej nie napisała całej prawdy). Otóż **nieprawdą jest, że Spółdzielnia proponowała mi mieszkanie na dziesiątym piętrze, a ja tej oferty nie przyjęłam.** Nigdy takiej (ani żadnej) propozycji nie było, a gdyby była — skorzystałabym z niej, jak również z każdej innej, byle mieć własny kąt.

Nie wiem więc, komu zależało, by I Sekretarzowi przekazać nieprawdę, a mnie dotknąć tym, że jednak intencje moje nie były całkiem czyste. Proszę zatem o polecenie opublikowania mego listu, zaś ten, kto chcąc przedstawić siebie w lepszym świetle, mnie stara się przedstawić w gorszym, a Pana również okłamał, niech się publicznie wytłumaczy ze swego kłamstwa, bo chyba czuje się winnym, że jednak czegoś ze swych obowiązków nie dopełnił.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

WALERIA GOMULAK

Szanowna Pani!

Przede wszystkim gratuluję przydziału mieszkania! Cieszę się wraz z Panią z decyzji Zarządu Spółdzielni.

Do wyjaśnienia pozostaje sprawa nierzetelnej informacji o proponowaniu Pani wcześniej innego mieszkania. Podzielam opinię, że osoba, która wprowadziła mnie w błąd, powinna się wytłumaczyć. Jak się Pani zapewne domyśla, nie w Komitecie Wojewódzkim partii wymyślono tę bajeczkę, lecz w Grodzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Rzeczą prezesa Spółdzielni jest ustalenie, kto mu podsunął nieprawdę.

Życzę pomyślności

JÓZEF BROŻEK

Przysłowie głosi, że nieszczęścia chodzą parami. Anna T. mogłaby powiedzieć o sobie, że dopadł ją cały tabun klęsk. W krótkim czasie musiała pochować kolejno: matkę, teścia i męża. Zrozpaczona po stracie najbliższych została sama jak palec z ledwo podchowanymi dziećmi. Miary niepowodzeń dopełnił w jesieni ub. r. poznano Marii P., co w konsekwencji doprowadziło Anno do kompletnej ruiny materialnej.

Maria P. niewiasta 37-letnia, mężatka, matka dwojga kilkunastoletnich dzieci, sprawiała na Annie ujmujące wrażenie. Wydawała się bardzo życzliwa, opiekuńcza, imponowała zaradnością i szerokimi znajomościami, o których chętnie opowiadała. Toteż Anna przyłgnęła do nowej przyjaciółki licząc, iż ta pomoże jej rozwiązać życiowe problemy. Istotnie, rada jak należy się urządzić przyszła szybko, a wraz z nią konkretna oferta.

Otóż Maria P. stwierdziła, że jedną szansą na to, aby Anna „stanęła na nogi" jest wyjazd do Ameryki. Sama zaś zadeklarowała pomoc w załatwieniu wszystkich formalności. Powołała się przy tym na zażyłe kontakty w nieokreślonym biurze Bruxelles w Poznaniu. Niedwuznacznie też dodała, iż nikt dzisiaj nie robi nic za darmo i wyjazd — nie licząc wydatków na samą podróż — musi kosztować. Zainwestowanie w przedsięwzięcie opłaci się jednak stokrotnie, a Anna zarobiwszy w

Z PRACY SĄDÓW

Stanach kroicie, wróci już jako milionerka.

Przynęta okazała się tak kuszącą, że ofiara połknęła haczyk nie zastanawiając się zbytnio nad realiami. Wyłoniła się jedna istotna przeszkoda — dzieci Anny. Nie miała nikogo, kto mógłby się nimi zaopiekować. Dla przedsiębiorczej Marii P. również to nie stanowiło problemu. Zapewniła Annę, że za jej wstawiennictwem dzieci umieszczone zostaną w siostr zakonnych w Krakowie.

Teraz, kiedy już wszystkie wątpliwości zostały wyjaśnione, należało przystąpić do działania. Anna spieniężyła swoje nieliczne dobra, dołożyła oszczędności, po czym powierzyła całą kwotę Marii P. Było tego 185 tys. złotych i 150 dolarów USA. Nastał czas wyczekiwania na dokumenty podróży i oczywiście marzenia o przyszłości. Któregoś dnia Maria krytycznie zauważyła, iż Anna powinna w Stanach pokazać się w bardziej atrakcyjnych szatach od tych, które nosi na co dzień. Ma ona znajomą w „Telimenie", gdzie właśnie pokazały się ładne garsonki, za jedyne 12 tys. złotych. Anna nie oparła się propozycji. Niebawem okazało się, że koszty wyjazdu rosną. Musiała więc naiwna Anna sięgnąć po ostatnie rezerwy. Były to: rozowski motocykl, kilka pierścieni ślubna obrączka. Maria chętnie pomagała w spieniężaniu wszystkiego.

Mijały tygodnie, a sprawa wyjazdu była tak odległa jak na początku. Maria P. jakby straciła zainteresowanie osobą Anny. Ta ostatnia po kilku bezowocnych rozmowach z oszustką zorientowała się, że nie będzie oglądać ani swoich pieniędzy, ani Ameryki. Wtajemniczeni w te sprawy — późniejsi świadkowie — poradzili zwrócić się do milicji i tak też Anna uczyniła. Aliści kiedy doszło do zatrzymania, Maria P. stawiła władzy tak energicznego opór, iż sąd, który później rozpatrywał sprawę, musiał i ten fakt uwzględnić.

Przyjrzyjmy się lepiej pani Marii, aby wyrobić sobie o niej zdanie. Otóż będąc mężatką i matką, mając zawód (jest kelnerka) nigdzie nie pracowała, gdyż wolała zdobywać pieniądze łatwiejszym sposobem. Nie miała oporów, gdy zabierała je ludziom dotkniętym szczęściem, przez los, jak to było w przypadku Anny. Dodać trzeba jeszcze, że czynu tego dopuściła się po upływie zaledwie dwóch lat od odbycia kary za podobne przestępstwo.

Sąd Rejonowy w Zakopanem nie dopatrzył się w stosunku do Marii P. żadnych okoliczności łagodzących i skazał ją na 4,5 roku pozbawienia wolności, 300 tys. złotych grzywny (z zamianą w razie nieuiszczenia tejże na 10 miesięcy więzienia), nadzór ochronny w okresie trzech lat po odbyciu kary oraz podanie wyroku do publicznej wiadomości.

JERZY LIPOWSKI

Warto wiedzieć, że...

W wyniku kompleksowej kontroli Urząd Gminy w Niedźwiedziu otrzymał ocenę dostateczną. Od poprzedniej kontroli (w 1984 r.) poprawa pracy gminnej administracji odnotowano na odcinkach: planowania gospodarczego, kultury fizycznej i turystyki, geodezji i gospodarki gruntami, nadzoru budowlanego i statystyki. Pogorszenie natomiast stwierdzono w dziedzinie handlu i usług, komunikacji, gospodarki komunalnej oraz problematyki społeczno-administracyjnej. Wiele wadzonych zadań realizowanych jest tu przy poparciu czynów społecznych. W roku ubiegłym ulepszono w ten sposób ponad trzy kilometry dróg, zmodernizowano most w Koninie oraz remontowano dom kultury w Niedźwiedziu i zbudowano około 3 kilometrów wodociągów wiejskich. Dość dobre wyniki osiąga gmina w rolnictwie ukierunkowanym na hodowlę bydła opasowego i owiec. Wysokie są wskaźniki zużycia nawozów mineralnych oraz wapna nawozowego, w pełni realizowane są zadania ochrony roślin, nie budzi zastrzeeń rozdział sprzętu rolniczego, wzrasta pogłowie bydła i trzody chlewnej. Gmina przekroczyła plan skupu żywca wołowego, ale nie wykonała planu skupu żywca wieprzowego i mleka. W ubiegłym roku nastąpił regres w budownictwie mieszkaniowym oraz inwentarskim, głównie z powodu braku materiałów budowlanych oraz niedostatków fachowego gospodarctwa. Pogorszeniu uległo również funkcjonowanie handlu, drobnej wytwórczości i usług. Brak nadzoru w zakresie gospodarki masą mięsną prowadzonej przez Gminną Spółdzielnie „Samopomoc Chłopska" spowodował, że w ciągu 4 miesięcy br. skierowano do przedaży poza systemem kartkowym 3 tony mięsa i wędlin, a zaledwie w 50 proc. zrealizowano rozdzielnik na karty zaopatrzenia. Brakowało ewidencji zakupów mięsa i wędlin przez zakłady żywienia zbiorowego. **Wiele zastrzeżeń budzi nadzór nad funkcjonowaniem sieci handlowej. W czasie lustracji sklepów stwierdzono w nich zły stan sanitarny oraz niską jakość ofe-rowanych do sprzedaży towarów.** Sieć placówek handlowych można uznać za dobrą, a polepszy się jeszcze po wybudowaniu sklepów w Podobinie i Porębie Górnej. W zakresie usług nie zaspokojono jeszcze potrzeb społecznych. Mało jest nadal zakładów fotograficznych, kowalskich, naprawy artykułów gospodarstwa domowego, moryzazyjnych i naprawy maszyn rolniczych. Program rozwoju usług nie jest konsekwentnie realizowany, głównie przez GS. W 1987 r. nie wykonano zadań w zakresie społecznej zbiórki złomu i makulatury, dobrze natomiast przebiega skup surowców wtórnych. Szereg nieprawidłowości ujawniono na odcinku wydawania uprawnień do wykonywania rzemiosła. Skutecznie realizowane są działania w zakresie likwidacji nielegalnych wylotów ścieków, dobry jest stan sanitarny wodociągów wiejskich i wody pitnej. Niewystarczający nadzór budowlany. Dobrze realizują swe zadania placówki oświatowe, ale nie rozwiązano problemu ogólnej opieki lekarskiej i stomatologicznej. Najwyżej oceniono szkołę w Porębie Wielkiej, najniżej w Koninie. Nie opracowano programu poprawy warunków startu życiowego młodzieży, a praca rady d/s młodzieży jest niewidoczna. Nieprawidłowości stwierdzono w zakresie rejestracji pojazdów samochodowych oraz wydawania tymczasowych tablic rejestracyjnych. Urząd Gminy nie przejął się realizacją zadań w zwalczaniu przestępczości i patologii społecznej — nie opracowano nawet kompleksowego programu w tej sferze. Na niedostatecznie oceniono realizację zadań z zakresu kultury i sztuki. Od ostatniej kontroli nastąpiła w tej dziedzinie zadna poprawa. Pogorszeniu uległa działalność Gminnej Biblioteki Publicznej, zanikł spadek czytelnictwa. Przez 4 lata nie funkcjonował z braku dyrektora Gminny Ośrodek Kultury. W przedszkolach w Podobinie i Koninie ujawniono nieprawidłową gospodarkę artykułami żywnościowymi (wydawano bezpłatne posiłki pracownikom w okresie ich nieobecności w pracy oraz zawyżano dzienne racje pokarmowe). W oparciu o fikcyjną fakturę za budowę szatelów w Niedźwiedziu Urząd Gminy wypłacił Zakładowi Produkcji Pomocniczej w Porębie Wielkiej 4 miliony złotych, a budowy nawet nie rozpoczęto. Poprawie uległa terminowość załatwiania indywidualnych spraw obywateli. Potwierdziła ten fakt również anonimowa ankieta przeprowadzona wśród wybranych metodą losowania mieszkańców gminy. Najwięcej krytycznych uwag zgłoszono w tych ankietach pod adresem placówek handlowych za nieuprzejmą obsługę, niepełną ekspozycję towarów oraz trwające po kilka dni odbiory dostaw. Narzekano też na działalność poczty oraz zawyżanie rachunków za rozmowy telefoniczne. Krytykowano

KUMOTRZY

Byli sobie na Podhalu dwaj serdeczni druhowie i kumotrzy: Józek i Jasiek. Pierwszy z nich trzymał do chrztu Jaśkowej pierworodnego—Maćka, zaś Jaśkowa małżonka, Małgorzata, była chrzestną córki Józkowej—Zosi. Los zdawał się być przychylny młodym stadłom i nic nie wskazywało, że gdzieś na horyzoncie pojcynają się gromadzić ciemne obłoki. Chmurki te z czasem miały przybrać barwę zieleni, szeleszczącej szlachetnym papierem dolarowych banknotów.

Najpierw za oceanu nadeszło zaproszenie od rodziki Józka. Uruchomiono wszystkie oszczędności, pożyczki udzieliła rodzina i po serdecznych pożegnaniach młody gospodarz odleciał „za wodę". Do kraju zaczęły przychodzić rzewne listy, paczki z ciuszkami i słodyczami. Zona Józkowa sprawiedliwie dzieliła łakocie między własne pociechy i dzieci chrzestne swojej Zosi, z każdą też nowiną od męża biegała do kumy.

Tak minęło pół roku. Wówczas jeden ze znajomych przywiózł zaproszenie od stryja dla Małgorzaty, z okazji należało skorzystać. Jedyna trudność — kto zajmie się dwójką małych dzieci — została rozwiązana przez matkę Zosi. Zaopiekuje się malcami. Zakładano, że Małgorzata pobędzie za oceanem pół roku, najwyżej rok, tak by zwróciły się koszta podróży i by co nieco zarobiła. Rodzinka wraz z kuma odprowadziła zadowoloną Gośkę na warszawskie lotnisko Okecie. W Ameryce stryj okazał się na tyle wspaniałomyślny, że przez dwa dni pozwolił krewniaczce odpocząć pod swoim dachem, a potem już przy pomocy kuzynek i współrodaków poszukała pracy i jakiego takiego kąta do spania.

Po roku pobytu za oceanem powrócił do kraju Józek, przywożąc dla swoich podarki, a dla rodziny kuma „zielone" od Małgorzaty. Przyjaźń obu rodzin—chociaż chwilowo niekompletnych—wspaniale rozwijała się nadal, wzbogacona uznaniem sąsiadów i znajomych.

Pobyt Małgorzaty przedłużał się ponad zaplanowany okres, nikt jednak nie robił z tego tragedii. Listy szły nadal w obydwu kierunkach z dawną regularnością, na Podhale nadchodziły paczki. W Jaskowym obejściu widać było postęp: gromadzone przez kilka lat materiały przeistaczały się szybko w rosnące mury piętrowego domku, o zbiorczymi bukonami. Po jakimś czasie na podwórku pojawił się nowy „maluch".

I tu powinienem postawić kropkę, względnie dodać coś w rodzaju: żyli długo i szczęśliwie. Aliści życie dopisało inny koniec.

Razu pewnego obydwaj kumowie zostali zaproszeni na przyjęcie do kuzyna, udali się tam Jaśkowym „fiatem". Było wesoło, bo zaszła w ciąże, „ale nie wiesz się" jeszcze u nas nie zaginęła, a narodziny syna gospodarzy całkowicie to usprawiedliwiały.

Kumowie wypełniali czas między toasami towarzyską konwersacją. Aż podchmieloiemu Jaśkowi zebrało się na sentymenty i w pewną chwili wzrzetchnął:

—Co też tam teraz porabia moja Małgosia?

Dosłyszał to siedzący obok Józek. *—Na pewno nie wzdycha jak ty, dorabia na drugiej zmianie!*—zaśmiał się do ucha przyjaciela.

Błyskawica przebiegła przez twarz Jaśka, w oczach zapaliły się ognie.

—Co ty powiedział?! A może i ty... kiedy tam ceny bujdacie?!

Porwali się zza stołu. Z trzaskiem padły przewracane krzesła. Wynieśli się na dwór. Jaśnie wyrwał sztachetę z płotu.

Zaskoczony takim obrotem sprawy — a może nieco trzeźwiejszy Józek począł się cofać. Tamten ze wściekłym uporem wymachiwał kołkiem, chcąc dosięgnąć przyjaciela. Już był blisko, gdy Józek skoczył zza stojącego w pobliżu „malucha", którym przyjechali obaj.

Cios, który miał trafić w głowę Józka, uderzył w dach samochodu. Jeden, drugi, następne posypy w maskę, świtała i szyby.

Ogarnięty szałem niszczenia tłukł Jasiek z zaciętością wszystko, co pochodziło od jego Małgości, która za oceanem doradała „na dolary". I nie wiadomo, jak zakończyłaby się owa żądza zemsty Jaśka, gdyby nie pozostali biesiadnicy. Wyskoczyli z izby i całą grupą natarli na rozjuszonego mściciela.

Było jeszcze kilka poszarpanych koszul kilka złamanych sztachet. Biesiada, tak wspaniale zapoczątkowana, zakończyła się na długo przed planowanym termienm. Dwaj serdeczni druhowie Jasiek i Józek do dziś nie gadają ze sobą. Nawet przedłużyła swój pobyt za Wielką Wodą.

ANDRZEJ NIEMIEC

Odpoczywam, gdy się zmęczę

Jest pełnia żniw. Pani dziecko wybiera się na kolonie lub obóz, o którym marzyło przez cały rok. Czy zgodzi się Pani na ten wyjazd?

Na tak sformułowane pytanie, połowa kobiet wejściskiem w jednej z gmin odpowiedziała przecząco.

Z oficjalnych statystyk wynika, że młodzi mieszkańcy wsi stanowią tylko 1/4 wypoczywających młodych Polaków.

Negatywna odpowiedź połowy matek nie wynika ze złej woli, lecz z konieczności. Pod oschłym w formie komentarzem własnym do takiej decyzji w sprawie wakacji dziecka: *Ja nie wypoczywałam i żyję* — kryje się bezsilność wobec praw, które rządzą pracą w rolnictwie, zwłaszcza niżej zorganizowanym. Przez cały rok, może z wyjątkiem zimy (to zależy od profilu produkcji) obowiązuje w polu i obejściu rytm, który dyktuje przyroda. Im bardziej intensywnie prowadzone gospodarstwo, tym większe zaabsorbowanie pracą właściciela i rodziny, łącznie z dziećmi, niestety.

Nie miałem nigdy żadnego urlopu — napisał jeden z rolników. *— Ale robotę mam interesującą i nigdy się nie nudzę. Odpoczywam, gdy się zmęczę. Zimą to czasem i w dzień robię robotę. Hoduję krowy, więc o żadnym urlopie nawet marzyć nie mogę. Gdyby nawet było mnie komu zostawić, to i tak nie bardzo umiem gdzie mam na urlop pojechać. Lekarz mi radził, żeby odpocząć, gdzieś wyjechać. No dobrze — mówię — ale jak pojadę, to co ja tam będę robił?*

Młodzi myślą inaczej. Sama młodość ciągnie ich w dalszy świat, poza opłotki własnych wsi, w których coraz ciaśniej. Młodzi rolnicy, potencjalni następcy, marzą o wypoczynku, ale i o spotkaniu partnerki, którą zgodziłaby się dzielić trud jednostek administracyjnych obwodową komisję lekarską d/s inwalidztwa i zatrudnienia. Inspektorat zapraszą interesantów w swoje progi we wszystkich sprawach związanych z ubezpieczeniem społecznym, a służby kadrowo-socjalne zakładów i instytucji do współpracy.

● Wojewódzka organizacja Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej liczy 47 800 członków oraz 194 członków zbiorowych, którymi są zakłady pracy. Są oni zorganizowani w 4 oddziałach miejskich, 10 miejsko-gminnych oraz 30 gminnych. Nie ma jeszcze gminnych organizacji TPPR w Lubniu, Niedźwiedziu i Ochotnicy Dolnej. Przy Zarządzie Wojewódzkiem działają komisje: szkolna, absolwentów uczelni radzieckich, upowszechniania kultury, braterstwa broni, robotnicza i wojska.

● W ciągu I półrocza br. funkcjonariusze Służby Ochrony Kolei woj. nowosądeckiego nałożyli 5232 mandaty karne na łączną kwotę 5,7 miliona złotych. W tym samym okresie strażnicy lasów państwowych ukarali mandatami 596 osób, funkcjonariusze straży pożarnych—348 a PIH—105.

● Ukonstytuowały się i rozpoczęły działalność nowo wybrane rady narodowe. 17 lipca br. wymieniłem przewodniczących miejskich oraz miejsko-gminnych rad narodowych z wyjątkiem Limanowej, gdzie w wyniku wyborów uzupełniających inauguracyjna sesja odbyła się w terminie późniejszym. Przewodniczącym Rady Narodowej Miasta i Gminy w Limanowej wybrano **Bronisława Smolenia** z Mesciny. Przewodniczącymi Gminnych Rad Narodowych wybrano: w Białym Dunajcu — **Stanisława Sądelskiego**, w Bobowej — **Jana Potoczka**, w Bukowinie Tatrzańskiej — **Jana Budza**, w Chełmcu — **Józefa Chudego**, w Czarnym Dunajcu — **Stanisława Staszeckiego**, w Czorsztynie — **Szczepana Janczego**, w Dobrej — **Józefa Podgórniego**, w Gorlicach — **Tadeusza Trybusa**, w Gródku nad Dunajcem — **Władysława Skoła**, w Jabłonce — **Jana Jędrusia**, w Jodłowniku — **Stanisława Czachurę**, w Kamienicy — **Józefa Rusnarczyka**, w Kamionce Wielkiej — **Ryszarda Gonczowskiego**, w Korzenie — **Antoniego Susa**, w Krościenku nad Dunajcem — **Stanisława Orskiego**, w Laskowej — **Marię Woźniak**, w Lubniu — **Franciszka Budzyna**, w Łabowej — **Józefe Mogilską**, w Łapszach Niżnych — **Janina Grudnia**, w Łącku — **Stanisława Farona**, w Łososinie Dolnej — **Stanisława Barana**, w Łukowicy — **Włodzimierza Wilka**, w Łużnej — **Tadeusza Zawiślaka**, w Moszczenicy — **Zygmunta Potoka**, w Nawojowej — **Stanisława Wiktora**, w Niedźwiedziu — **Franciszka Łabuza**, w Nowym Targu — **Władysława Chrobaka**, w Ochotnicy Dolnej — **Jana Ligasa**, w Podegrodziu — **Teodora Gargasa**, w Rabie Wyżnej — **Antoninę Kaewin**, w Sękowej — **Henryke Diduch**, w Stronie — **Józefa Kaczmarczyka**, w Uściu Gorlickiem — **Aleksandra Gontarza**.

● Po raz dziesiąty zorganizowano *Lato w Dolinie Kamionki* — piękną imprezę sportowo-kulturalną, która stała się okazją do prezentacji dorobku kulturalnego gminy Kamionka Wielka. Koncertowały szkolne zespoły folklorystyczne z Królowej Górnej i Mystkowa, orkiestra dęta z Mystkowa, Mszalnicy oraz zespoły regionalne: „Mali Mszalniczanie", „Mały Skalnik", „Mali Mystkowianie", „Skalnik", „Kamionczanki", „Mszalniczanie". Wśród zespołów zaproszonych były: „Rytmy-70" i kapela „Galicja" z Zakładów Mechanicznych w Tarnowie, "Limanowianie" oraz zespół rockowy „Sekta" z Nowego Sącza. Znakomitymi gawędami popisał się **Sławomir Chowaniec** z Bukowiny Tatrzańskiej. Dopełnieniem całości był festyn sportowo-rekreacyjny oraz zabawa ludowa.

● W Bartnem w gminie Sękowa zorganizowano IV „Lemkowską Watrę". Wśród licznych masowych imprez warto odnotować „Poroniańskie Lato", organizowane ronnolegle w Szczawnicy i Krościenku — „Pienińskie Lato" oraz „Dni Muszyny Dolnej"

ROMAN KOSTANECKI

KRONIKA MILICYJNA

Ostatnio wśród ofiar kradzieży kiszonkowych przeważali cudzoziemcy. W Zakopanem Węgrzy ukradli skradziono portmonetkę z 18 tys. złotych. Jej rodaczka, Margot H. w podobny sposób utracił 7 tys. złotych. Węgierka, w sklepie obuwniczym — również w Zakopanem — postradała portfel z zawartością 60 tys. złotych. Pociągiem powrócą do domu dwaj Duńczycy, którym w Zakopanem sprzed restauracji „Morskie Oko" skradziono rowery. Francuzka, Terenza Wawrzyniewicz w samochodzie, zaparkowanym w Zakopanem dwie gry elektroniczne i 30 kaset magnetofonowych, złodziej zabrał je po wybiciu szyby.

W Nowym Sączu, sąsiad przebywający na wczasach Jacka Ch. zawiadomił MO, że mieszkanie tegoż zostało okradzione. Stwierdzono, iż złodziej dostał się do wnętrza po wypchnięciu drzwi balkonowych. Zabrał telewizor kolorowy „Sony", futro z lisa oraz wyroby ze złota i srebra. Strata wynosi 1.260 tys. złotych. W Krynicy z mieszkania Mikołaja S. skradziono biżuterię wartości 1.250 tys. złotych. Z galerii sztuki w Zakopanem zginął „Pejzaż zimowy", wyceniony na 100 tys. złotych. W Klikuszowej z mieszkania Ireny P. w nieustalonych okolicznościach skradziono 200 tys. złotych i biżuterię wartości 900 tys.

Czterech na jednym motocyklu — to już ekwilibrystyka. Tak pojmował się w Hańczowej Roman Sz. Stracił jednak panowanie nad pojazdem i wjechał do rowu; 35-letni Stanisław K. uniósł śmierć, ponosił będzie dozgonali obrażeń. W Łabowej samochód ciężarowy, prowadzony przez 35-letniego Andrzeja P., nieumiejętnie potrącił idącego środkiem jezdni 45-letniego Stanisława W. W Tenczynie, jadący samochodem osobowym obywatel Franciszek Ziond P. zlekceważył przepisy ruchu drogowego i zderzył się czołowo z autobusem. Kierowca i trzej pasażerowie samochodu, doznali ciężkich uszkodzeń ciała.

W Słopnicach podczas cięcia drewna piłą tarczową, uderzony został w głowę i klatkę piersiową grubą listwą Władysław Sz. Poszkodowany zmarł w szpitalu. W Jazowsku dwaj bracia 29-letni Władysław i 27-letni Jan F. usiłowali przebyć wpław Dunajec. Obaj utonęli. O niebywałym szczęściu można mówić w przypadku rocznego Marcina Sz. z Nowego Sącza. Dziecko wypadło z okna na czwartym piętrze nie doznając żadnych obrażeń.

(KAR)

ANNA SZOPIŃSKA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

startymi skrzydłami, maleńka złota narta z butem i kijkiem — mają je tylko rekordziści świata.

Posłuchajmy, co dziś mówi **STANISŁAW MARUSARZ** o swoich — często za prawionych gorzkich — zmaganiach z losem, o rodzinie, sporcie, powinnościach i nadziejach.

★

— Z dziada pradziada pochodzę stąd, z Podhala. Rodzina ze strony mamy była bardzo znana: Szymon Tatar — przewodnik, ratownik, myśliwy — zmarł wcześnie, po 54 latach, na raka. Została babcia — wychowywała mojego starszego brata, a on jej pomagał.

Zacząłem startować (i całe rodzeństwo startowało), bo wiedziałem, że to brama otwarta na świat, a i bawił mnie sport. Dzięki narciarstwu zwiedziłem kawał świata. Ale za darmo nic nie ma — włożyłem w to wiele pracy.

Szczęście nas bijało: starsza Helena goniła reprezentowała rodzinę — osiem razy mistrzyni Polski, Maria — jeden raz, Bronisława cała wojnę pędziła na Prochtach jako pielęgniarka i dostużyła się wielu odznaczeń. Jedna z sióstr jest teraz w Nowej Zelandii, druga w Kanadzie. Ja mam odznaczenia polskie i londyńskie, a siostry i brat — mają odznaczenia nawet od królowej Anglii.

★

Zdobyłem trochę nagród — w sumie około 400. To dorobek całego życia i ja się nim cieszę. Odznaczeń mam 21, w tym 3 „chlebowe". Ale najbardziej sobie cenię, że zdobyłem społeczeństwo, że jestem wśród ludzi. Młodzież — od najmniejszego — straszenie lubię, bo to przecież przyszłość, nadzieja. My odejdziemy — oni nas zastąpią. Takie jest życie, takie jest prawo...

Prowadzę te pogadanki i prelekcje, bo raz, że sobie dorobię, a dwa — jestem cały czas wśród młodzieży, która jest ułożmiejsza.

★

Chałupa — tak... piękna, ale cóż z tego — nie dokończona. Nie stać mnie na to, żeby wykończyć. Widzi pani, jak ja mieszkam — dywan ma chyba z 70 lat — do cna zdarty...

Żona jest inżynierem architektem — prowadzi projekty domów. A ja po budowałem. I wybudowałem w trzy miesiące. To było trzydzieści lat temu — wprowadziłem się do „Anny Marii" (wtedy jeszcze przystanej), żeby tu budować. Stary dom sprzedaliśmy, bliższy się Bronie. Nadrzenie — tam przecież przyjeżdżają gości — trzeba było się wynieść. Mieszkałem u sąsiadów na werandzie. Osiemnastu ludzi na budowie — to był horrogan. Jeszcze przyrzoda robiła mi psikusy: już wszystko gotowe i czas robić dach — przyszła zawierucha, śnieżyca... Wszystko zawiało. Z soboty na niedzielę wszystek śnieg poprzątałem, żeby już mogli ten dach przykryć. Ale ścisnął mróz, zaczęło wiać — nikt mi nie przyszedł. Jedziłem na motocyklu, żeby ściągnąć tych chłopów, bo rodzina trzeba było wprowadzić do domu. W wigilię wprowadziłem dzieci — na dół, bo góra jeszcze nie była zrobiona — goniły tu dookoła korytarzem, kuchnią, przez pokój... Taka radość była. Brakło mi pieniędzy, pożyczałem w banku i 20 lat spłacałem potem długu. Wykończenie balkonów, te otwory górne robiłem sam.

Osiem lat temu — już dziury miałem w dachu — poszedłem na górę, żeby je zakryć. A tu taka zawierucha, deszcz — potwornie leje. No to przykryłem dziury płachtą. Za godzinę słońce świeci (to było wtedy, kiedy papież był w Nowym Targu) — wszędzie wiszą moje ubrania. Wtedy straciłem równowagę, bo szczebel się złamał, oparłem nogę o dach i — razem z gromnicą — na dół poszedłem. Ale to sprawny jestem, wygimnastykowany — zrobiłem pół salta i spadłem na plecy. Poszły dwa kręgi, trzeci naruszony. Miesiąc w domu przeleżałem.

Na szczęście mam różnych znajomych — przyjechało kiedyś małżeństwo lekarzy z Krakowa — widzą, że ja tak trzymu, noga przeciwdudki 6 centymetrów, bo to jak był częściowy paraliż — znalazłem się w klinice. Chirurg stale namawiał, żebym zdecydował się na operację. W końcu pytam go:

— Panie doktorze, czy nie będzie jakiegoś paraliżu?

— A... tego nie mogę zagwarantować on mówi.

Ano, to pan zalicza swoje operacje tak, jak ja kiedyś zaliczałem skoki... Niestety, nie pójdę pod nóż.

Na Węgrzech też mam znajomych — mówili: — Staszek, nie daj się operować. Załatwili mi sanatorium. Oczywiście brakowało fortinów, ale Węgrzy poszli mi bardzo na rękę. Po 24 zabiegach stałem na nogach — już bez kompliksji.

Z kręgosłupem kłopoty mam jednak bez przerwy. Co miesiąc biorę 5-6 masaży. Ale wszystko mi, wtedy nogi odrętwieje. Na szczęście mam córkę, która skończyła rehabilitację. Ja się kładę na tej kanie, a ona dociska — wpada ten kręg.

Wyglądam, powiedzmy sobie dobrze jak na mój wiek i ludzie się dziwią. Mam prawo wejścia bez kolejki, ale przecież nie mogę wchodzić, kiedy stoją biedne starszki. Nieraz uciekam ze sklepów...

★

Co roku biegnie sztafeta pamięci: z Zakopanego do Sącza, z Sącza do Tarnowa. Ot, jedna z uroczystości, które mnie tak cieszą. W maju tutaj w Zakopanem pogoda jest różna. Ja się uśmiałem po sportowemu: w dres z napisem „Polska", z orzełkiem. Na cmentarzu stałem, gdy przyszedł deszcz i śnieżyca — odstałem tam całą uroczystość, przaszczepiać pochodzę młodzieży. Osiem godzin jechałem wraz z siostrą autobusem do Sącza, bo sztafeta biegła w deszczu i gradzie. Tam uzyskało się spóźniło przez śnieżycę z deszczem — nie było prawie nikogo, a ja stałem w dresie. W końcu doszli, którzy mieli dojść. Przemówienie. Potem miałem spotkanie w Domu Kultury Kolejarza. Taksówką wróciłem z siostrą do Zakopanego. Następnego dnia — spotkanie w Nowej Hucie — jadę, bo nie mogę zawieść. Było coś 600 osób. Skończyłem o godzinie czwartej i zmierzgałem z 40 stopni. Do Zakopanego wracałem w jej gorączce jak pijany. Nazajutrz znalazłem się w sanatorium, zrobili mi zdjęcia — na jednym płucie płucnym plama.

Jestem właśnie miesiąc po leczeniu, jutro jadę do kontroli do sanatorium. Mógłbym tam zostać, ale nie mam czasu. Dziwi to ludzi, bo niby emeryt czy rencista, ale ja naprawdę nie mam czasu... Proszę mnie tu i tam, więc nie mogę odmówić.

★

Po wojnie przez jakiś czas byłem na Dolnym Śląsku, wybudowałem dwie skocznie w Karpaczu. Stamtąd wróciłem do Zakopanego, zacząłem pracować schroniska na hali Ornak, żeby wrócić do tej doliny, bo przed wojną prowadziłem schronisko na hali Tysiąc. Skończyłem schronisko, przybyła litera „K" do PTT i skończył się mój pobyt tam. A włożyłem tutaj sporo serca. Nie mam płacki za cały nadzór prowadzonej budowy. Miałem zgromadzony materiał na dom i musiałem go sprzedać, bo w drugim roku prowadzenia schroniska na Ornaku dostałem 15 tysięcy domiaru, potem 2 tysiące, potem jeszcze 700 złotych — a ja tam żyłem... Dlatego zrezygnowałem prędko — nie miałem już nic. Napisałem do Rady Państwa — przyjechali na kontrolę, widzieli, że nie ma tam żadnego ruchu, choć był sezon. A umówiłem do tego schroniska 50 sienników, kozy, prześcieradeł, poduszek siennem wypchanych. Przywiozłem ze Śląska agrycat, żeby grobi świnie, to wodoczą tam doprowadziłem. I musiałem schronisko opuścić. Nie procesowałem się z nimi.

Na szczęście przychodzi do Zakopanego pułkownik Czernik z majorem Konopką. Zajechali pod mój dom myślałem, że po mnie... Ale wychodzą, witają się serdecznie, mówią: — Staszek, robić klub. I zrobili. Na pierwszy wszedłem do niego jako trener, pościągałem najlepszych zawodników. Nie było sprzętu, więc wspomagałem Klub — miałem pozwolenie w skiepach komisowych. W pierwszym roku swojego istnienia Wojskowy Klub Sportowy zdobył 12 tytułów mistrzowskich.

Znalazł się jednak człowiek, który mnie stamtąd wysadził. Znów napisałem do Rady Państwa — dostałem posadę w Panstwowym Przedsiębiorstwie Imprez Sportowych. Tu też bardzo pracowałem, bo zburzyłem dużą skocznię, zacząłem robić, potem wszedł „Mostostal", więc robiła średnia skocznia. Nie mogła robić dać rady z serpentynami wejścia na górę — śnieg padał, a skocznia musiała być potowa — ja z swoimi ludźmi przerabiałem serpentyny — stoją do dziś. Uratowałem drzewa udałość skoczni.

Później pracowałem na Nosalu. Ludzie tam byli różni: technicy budowlani, na których nie mógł się PPIS oprzeć i fenomenalny Mikołaj Górski, niezłyczy już dziś — olimpijczyk, inżynier; także Urbanek — bardzo dobry organizator. Przyszła

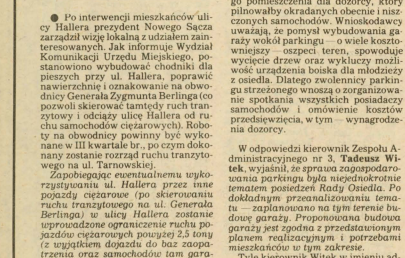

Mamy nadzieję, że takie w poważnieszych sprawach Urząd będzie również operatywny i wrażliwy na oddolne inicjatywy społeczne.

● W maju br. grupa właścicieli samochodów zwróciła się do administracji sądeckiego osiedla Barskie II z prośbą o przekształcenie istniejącego parkingu na strzeżony. W tym celu zaproponowano postawienie możliwie taniego pomieszczenia dla dozorcy, który pilnowałby okradanych obecnie i niszczonych samochodów. Wnioskodawcy uważają, że pomysł wybudowania garaży wokół parkingu — o wiele kosztowniejszy — oszpeci teren, spowoduje wycięcie drzew oraz wykluczy możliwość urządzenia boiska dla młodzieży osiedla. Dlatego inicjatorzy parkingu strzeżonego wnoszą o zorganizowanie spotkania wszystkich posiadaczy samochodów i omówienie kosztów przedsięwięcia, w tym wynagrodzenia dozorcy.

W odpowiedzi kierownik Zespołu Administracyjnego nr 3, **Tadeusz Wilek**, wyjaśnił, że sprawa zagospodarowania parkingu była niejednokrotnie tematem posiedzeń Rady Osiedla. Po dokładnym przeanalizowaniu tematu — zaplanowano na tym terenie budowę garaży. Proponowana budowa garaży jest zgodna z przedstawionym planem realizacyjnym i potrzebami mieszkańców w tym zakresie.

Tyle kierownik Witek w imieniu administracji spółdzielczej...

Do doświadczeniach i budową na tym osiedlu pawilonu spożywczego (z towarzyszeniem sporych emocji i zbędnych wahań) **racjonalne wydaje się przyjęcie propozycji zwolenników parkingu strzeżonego i zwołanie zebrania zainteresowanych. Redakcja przekazała tę sugestię prezesowi spółdzielni i sądzimy, że po wakacyjnych urlopach dojdzie jednak do spotkania i przedyskutowania racji obu stron. Niechżesz wreszcie sami mieszkańcy zaczną decydować, jakie są ich rzeczywiste potrzeby.** Tylko w ten sposób nastąpi współdzielczenie Grodzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

● W maju br. grupa właścicieli samochodów zwróciła się do administracji sądeckiego osiedla Barskie II z prośbą o przekształcenie istniejącego parkingu na strzeżony. W tym celu zaproponowano postawienie możliwie taniego pomieszczenia dla dozorcy, który pilnowałby okradanych obecnie i niszczonych samochodów. Wnioskodawcy uważają, że pomysł wybudowania garaży wokół parkingu — o wiele kosztowniejszy — oszpeci teren, spowoduje wycięcie drzew oraz wykluczy możliwość urządzenia boiska dla młodzieży osiedla. Dlatego inicjatorzy parkingu strzeżonego wnoszą o zorganizowanie spotkania wszystkich posiadaczy samochodów i omówienie kosztów przedsięwięcia, w tym wynagrodzenia dozorcy.

W odpowiedzi kierownik Zespołu Administracyjnego nr 3, **Tadeusz Wilek**, wyjaśnił, że sprawa zagospodarowania parkingu była niejednokrotnie tematem posiedzeń Rady Osiedla. Po dokładnym przeanalizowaniu tematu — zaplanowano na tym terenie budowę garaży. Proponowana budowa garaży jest zgodna z przedstawionym planem realizacyjnym i potrzebami mieszkańców w tym zakresie.

Tyle kierownik Witek w imieniu administracji spółdzielczej...

Do doświadczeniach i budową na tym osiedlu pawilonu spożywczego (z towarzyszeniem sporych emocji i zbędnych wahań) **racjonalne wydaje się przyjęcie propozycji zwolenników parkingu strzeżonego i zwołanie zebrania zainteresowanych. Redakcja przekazała tę sugestię prezesowi spółdzielni i sądzimy, że po wakacyjnych**

● **Mgr Barbara Golonka** w imieniu Urzędu Miasta informuje, że nasza krytyka dotycząca fasady budynku miesczącego sądecki „Olimpik" niebawem straci aktualność. Budynek jest objęty planem remontów kapitalnych na rok bieżący i jeszcze w tym miesiącu spółdzielnia rzemieślnicza „Sądeczanka" przystąpi do prac (Opóźnienie wynikło z konieczności przekwaterowania lokatorów).

● Niedawno rzecznik prasowy rządu krytycznie ocenił artykuł w „Nowej Wsi" o przywilejach ministrów; Jerzy Urban wytknął redakcji opieranie się na plotkach z mgła i podjudzanie niskich emocji. Pan **Zygfryd Dziekański** z Kościeliska przywołując to zdarzenie zgłasza własne pretensje — wymienione z kontaktów z redakcją „Nowej Wsi". Nie zamieszczamy ich (bez wnikania, czy zasadne), ponieważ sądzimy, że właściwym miejscem dla polemiki z „Nową Wsią" są jej łamy. Z reguły nie „dokładamy" zadnej redakcji (nawet gdy reka świerzbi), a już zwłaszcza takiej, która akurat obewiała mi ministra. I nie jest to kwiatek stroweo, lecz wyraz przekonania, iż wadzić się należy bez pośredników.

● Inż. **Jerzy Zasowski**, wicepreses Górniczego Klubu Sportowego „Glinik", prostuje nasza notatkę dotyczącą trenera Krzysztofa Hajduka i jego asystenta, Adama Trojanowicza: otóż Zarząd Klubu nie dokonywał żadnej oceny trenera i jego asystenta za miniony sezon. Nie złożyli oni do tej pory sprawozdania ze swej działalności.

● Również z Gorlic, i również w sprawie tyczącej sportu, otrzymaliśmy list podpisany „w imieniu zawodników i kibiców". Anonimowi autorzy pragną zainteresować kierownictwo GKS „Glinik" remontem drugiej płyty piłkarskiej.

Po przeprowadzeniu jej melioracji nie się przy niej od kilku lat nie robi, a trenować nie ma na czym. Mieniali się kierownicy sekcji, interweniowaliśmy w Klubie, otrzymaliśmy odpowiedź, że zlecenie na remont płyty posiada Zakład Gospodarczy — zakrawa to na ironię, bo przecież Zakład Gospodarczy podlega pod Klub.

Prosimy uprzejmie Zarząd Klubu o ustosunkowanie się do powyższej sprawy, zaś autorów listu — o podpisywanie się w przyszłości pod własną korespondencją.

ni — nikt nie chciał. Dyrektor Ustupski prosił żonę — bo ja już nie wytrzymywałem — żebym wytrzymał jeszcze te dwa tygodnie. I wytrzymałem. Zapalenie płuc z naciekami... Dziewięć miesięcy nie moje. Potem wyjechałem do Kanady, do siostry. Podreperowałem się tam we wspaniałym klimacie. Wróciłem do kraju i przeszedłem na rentę. Takie są koleje życia... Lecz na szczęście trzymam się. I trafiłem na dobrą, wspaniałą kobietę — mają żonę. Wytrzymała to wszystko.

★

Nieraz bym już opuścił Zakopane... ale to miejsce jest moje.

Chciałbym, żeby mi tylko trochę ułatwili, żebym choć do domu mógł dojechać... Bo dojazd mnie dobija. Od dwudziestu lat interweniuję co roku w urzędzie — każdy zapisywał do swojego notesu, ale, jak do tej pory — nic nie ruszyli. Jak budowałem dom — zrobiłem tę drogę. Teraz, gdy przyjdzie zima, to ja, ze swoim dyskiem, biorę łopatę i jadę jak pługiem na dół. Inni tylko patrzą: — Marusarz ma samochód jeździ, to niech sprząta...

Stoją tutaj dwa domy wczasowe: jeden górników, drugi nafciarzy — w zimie z dachu jednego spadnie na drogę śnieg i zasypa drogę aż do muru drugiego. Jeszcze w maju śnieg tutaj zalega. Parking sobie górnicy i nafciarze zrobili, owszem, ale sami musieli zrobić ten dojazdem. Chcieli zrobić drogę, jednak nie było zgody Rady Narodowej, dali więc większą ilość pieniędzy do MRN, a ta zobowiązała się, że drogę zrobią... Wszędzie leżne ręce. Nieraz myślałem, żeby spakować graty, zmienić miejsce i klimat...

Tu, gdzie dom stoi, mam kawałek ziemi; dalej sąsiad, a za sąsiadem też mam kawałek ziemi — taki pasek. Sąsiad zgodził się na komasację — on przeszedłby tam, a ja tu. Rada Narodowa powiedziała: — Nie. Może pan kupić od niego, a on od pana. Tylko że wtedy zapałcę straszny podatek. Nie, miasto nie ułatwia... Pszczoły bym sobie przeniósł tutaj, zrobił żywopłot... Pszczoły mam na tamtym kawałku — 12 uli — bawię się w pszczelarstwo. Niestety, zaraza od dwóch lat idzie — 90% pszczół padło. U mnie też. W tym roku odbudowałem rojo — wszystko robię własnymi rękami, bo inaczej nie stać by mnie było.

★

Cały czas interesuję się sportem, patrzę na narciarstwo. Kiedy byłem kierownikiem Muzeum Tatrzańskiego, to zbierałem też statystykę — tego dziś nikt nie robi — zapisywałem sobie, ilu trenerów jest każdego dnia, ilu zawodników, ile skoków oddali. Przeważnie było tyle, że w sezonie oddawano ponad 22 tysięce skoków. W ostatnich latach — nie więcej niż 1,5 tysiąca. Gdzie się podziewa ta młodzież? Coś tu nie gra... A mam wrażenie, że pracowników na etatach w klubach jest bardzo dużo. Skocznie właściwie stoją odłogiem, a są przez całą zimę przyrządzane. I my nie możemy zrobić konkursu skoków, jeżeli nie przyjedzie Śląsk. Coś to Zakopane klapło...

Z zagranicy nie przyjeżdżają, bo nie ma odpowiednich nagród, poza tym zagranica szuka rywali swojej klasy, a tu jest jeden Fijas, Kowal podskoczył, ale dziadek.

Olimpiada zimowa była przepiękna, fantastyczna... Łuszczek — jeden z największych fenomenów wśród polskich biegaczy — osobno trenuje i trzykrotnie się po tytuł mistrza Polski. Jest poza kadrą. Czemu Łuszczek nie wyjechał? Gwarantuję — takie jest moje zdanie — że mógł być w pierwszej dziesiątce w biegach.

Nasi zawodnicy, a jest ich garstka, stale walczą, a po polskie skocznie są najgorsze. A ja się pytam: Kiedy skaczą, żeby oceniać? Są wyciągi, kolejki — my potrafiliśmy z dziesięć razy wyjść na górę — ci wyjeżdżają 2-3 razy i to nie zawsze.

Może to i nasza wina: straciliśmy bardzo wiele w czasie wojny, więc po wojnie, gdy nasze dzieci się rodziły — chcieliśmy im wszystko dać. Może tym zepsuliśmy młodych... Ale czas przychodzi, żeby się to już zregenerowało.

★

Najdłużej byłem w pierwszej dziesiątce plebiscytowej — 19 lat. Pierwszy zostałem wybrany do nagrody Kusocińskiego sporód tylu wspaniałych sportowców. Z narciarzy — ja mam najwięcej osiągnięcia. Żaden sportowiec-narciarz mnie nie przeskoczył. Ale ja swoje życie oddałem dla sportu. Wszędzie szedłem, jak się to mówi po karciarsku — na banque, na całego. I to mój sukces. Mam wrażenie, że odwaga i siła są spadkiem po pradziadku. To idzie z pokolenia na pokolenie.

Szkoda, że przyszła wojna... Byłem w sile wieku, w szczytowej formie. Dzięki temu siedem razy uciekałem. Dlatego żyję.

★

Kiedy otwarto szkołę sportów zimowych na Bystrem — pozwoliłem im na swoim kawałku ziemi pod Nosalem zrobić wyciąg. Dziecięć lat nie brałem pieniędzy — to mój wkład. PPIS zwrócił się potem do mnie, bym dał na swoim kawałku wdłuż trasy postawić słupy dekoracyjne na flagi. Dałem, bo to dla sportu. Betony postawili, ale nawet kamieni nie pozbierali robotnicy. Ja zbierałem. Dali mi odszkodowanie, ale przecież powinni doprowadzić ten kawałek do stanu używalności, żebym się nie mordował.

Jeśli czegoś dla sportu potrzebuje PPIS czy Klub — zawsze jestem, bo to mój żywioł. Od czasu do czasu coś powiem, to może niektórzy są na mnie źli, ale jak się nie da przeboleć — trzeba powiedzieć. I tak wydaje mi się, że jestem za delikatny.

★

Starałem się dzieci wykształcić: najstarszy syn jest inżynierem magistrem, skończył francuski, ma narzeczoną i w tej chwili jest we Francji — tam trenuje. Ma prawo ściągnięcia rodziny, więc ściągnął żonę i dwoje dzieci. A ja chciałbym, żeby imię Marusarzów znowu znalazło się na arenie międzynarodowej — wnuk jeździ świetnie na nartach, doskonale Kubę jeździ, z ojcem bez przerwy trenuje i już ma punkty reperezentacyjne. Twardy chłopak. Są teraz na lodowcu w Alpach. I wrześniu jedziemy tam z żoną na dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach wracam tutaj i wybieram się znowu do Stanów. Muszę powiedzieć, że Polonia i Związek Podhalan zrobiły bardzo dużo — w Warszawie mam już gotowy bilet. Będę miał parę spotkań: w Chicago, Nowym Jorku i Detroit. Znaleźli się ludzie, którzy zsanują, chcą posłuchać...

Z jednego się jeszcze cieszę: pojadę do Stanów ze starym sprawozdawcą sportowym — Tomaszewskim — będziemy mieli wspólne spotkania. On ma sporo do powiedzenia i ja też.

Zrobiony jest film „Dziadek" — chciałbym go wywieźć, pokazać tym ludziom, mojego wnuka, sześcioletniego wówczas, i to odwiązłem się wtedy — skoczyłem przed kamerą jeszcze raz. To było dziewięć — dziesięć lat temu. Nie byłem już przeciez młody.

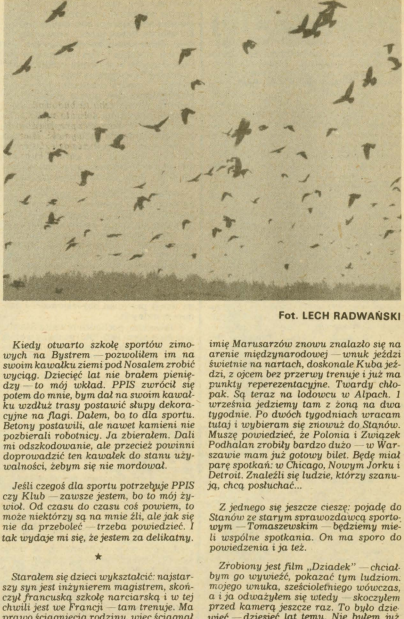

Fot. LECH RADWAŃSKI

KACIK ppłk. Glińskiego

Drogi Jana S. i Bogdana U. od lat często krzyżowały się ze sobą. Urodzeni w Kościelisku, razem pobierali nauki w szkole podstawowej, potem też razem po poległi odwiedzać różne blake — i legalne, i meliny, aż wpadli w nałóg, który zmuszał ich do kombinowania na wszelkie sposoby, by mieli co nalać do kieliszka. Obaj popadli w konflikt z rodziną, zapomnieli bowiem, że są zobowiązani do łożenia na utrzymanie dzieci. Mniej więcej w tym samym czasie wpłynęły od ich żon wnioski o rozwiązanie tego problemu na drodze prawno-sądowej. Jan. S. i Bogdan U. ani myśleli jednak przejmować się urzędowymi wezwaniami, a adresy zmieniali często i to tak skutecznie, że milicja przez długi czas miała kłopoty, jak trafić na ich trop. Aż wreszcie uzyskano informację, że Jan S., popadłszy w kłopoty finansowe, wynajął się jako pomocnik u zakopiańskiego bacy, który popędził stado na gorlickie polany. Wkrótce poszukiwanego dostarczono do zakopiańskich urzędów. W podobnym okresie w jednej z melin wpadł też Bogdan U. Przyjaciołom przyszło zdać rachunek ze swych dawnych i obecnych sprawek.

Bogdan U. i Jan. S. wchodzili w skład „grupy z Kościeliska", w której rolę przewodnią pełnił Leszek S. Nie z racji wieku, bowiem w stosunku do pozostałych był prawie młokosem, lecz z uwagi na sprytu, zaradność i przedsiębiorczość. Inna sprawa, iż talenty te skierował w niewłaściwym kierunku. Zaczął już w lat temu, gdy jeszcze jako nieletni popadł w drobny konflikt z prawem. Potem coś „organizował" — czasem w pojedynkę, czasem przybierając do pomocy innych. Najczęściej w wspólnikiem tych eskapad był młodszy od niego Norbert K.

Pewnego dnia Leszek. S. i jego wspólnik spotkali się dla omówienia ważnych problemów. Jak zwyczaj każe, „rozpracowali" jedną butelkę, dzięki czemu ich pomysłowość zostały pobudzone. Postanowili coś „zorganizować". Powędrowali na kycjna dla niektórych członków z „grupy kościeliskiej". Spróbowali więc innych metod zdobywania pieniędzy i zdobyli sławę. Norbert K. i Przemysław K. przechodzili któregoś wieczoru ulicą Kasprusie. Naprzeciwko nich szła samotna, młoda kobieta. — Ta kobieta jest moja! — chwacko krzyknął Przemek i w momencie mijania nieznajomej wyszarpnął jej torebkę. Pościg i płacz poszkodowanej na niewiele się zdały. Czesława T. poniosła kilkunastostysięczną stratę. Utraciła także wartościową monetę. Norbert z podziału łupu wspaniałomyślnie zrezygnował uważając, że wszystko co zdobyczne należy do zdobywcy. Młodzieżowcy wybierali się nieraz na skoki, które miały ugruntować ich niepoślednią pozycję w „grupie kościeliskiej". Kiedyś postanowili, że okradną mieszkanie podczas obecności w nim właściciela i słowa — trzeba przyznać — dotrzymali: weszli przez balkon, obrobili mieszkanie i garderobę właściciela, gdy tymczasem on spał sobie w najlepsze.

O grupie starszych też było głośno w miejscowym środowisku. Poszkodowani z reguły nie zgłaszali milicji i swych krzywdach i stratach wierząc, że ze strony „ludzi z grupy" może ich spotkać gorsza niesprzedziana. Kąsty miał przecież rodzinę, gospodarstwo. „Ludzie z grupy" szerzyli mit o swych możliwościach. Działo się to nawet wówczas, gdy kradzieże poczęły mieć posmak wymuszeń rozbójniczych. Szczególnie upodobali sobie rodzinę K. Na zwiad poszedł do tego domu Władysław M. Ponieważ domownicy nie chcieli go wpuścić drogą normalną, wszedł przez okno, po jego wybiciu. Dnia następnego, przetartym już szlakiem, zjawiła się grupa odpowiednio wzmocniona osobowo i zażyczyła sobie futrzanych narzut, na które mieli kupca. Na futrzakach jednak widocznie wielkiego interesu nie zrobili, gdyż po południu zabrakło im już na wódkę. Pofatygowali się więc ponownie do obejścia rodziny K. Tym razem doszli do wniosku, że dobrym materiałem przetargowym będzie dywan zagranicznego pochodzenia. Wywiedli go łącznie z jadełki szybko, tym bardziej, że cena wywłaczwa wynosiła piątą część wartości faktycznej. Po kilku dniach rodzina K. stwierdziła dalszą stratę: z piwnicy zginęły narty firmy Rossignol. Sąsiedzi, którzy akurat obserwowali przebieg akcji „grupy kościeliskiej", poinformowali później domowników, kto i w jaki sposób tu działał.

Członkowie grupy, gdy tylko przyszły na nich trudne czasy, nie wahali się odwiedzić potajemnie domów swych rodzin. Włamali się do Stanisława S. i innych. By nie pozostawać na wódkę, by udownić, że jest się mocnym w grupie.

Po zatrzymaniu Jana S. i Bogdana U. również i inni powędrowali do aresztu. Kościelisko powinno swobodniej odetchnąć.

Grupa kościeliska

Dni Ziemi Mszańskiej

Organizatorzy dziewiątych Dni Ziemi Mszańskiej przygotowali atrakcyjny maraton imprez zarówno dla mieszkańców gminy jak i dla wczasowiczów. Zaczęło się od uroczystej sesji Rady Narodowej i Rady FRON, podczas której do księgi zasłużonych wpisano **Władysława Popiołka, Bolesława Kudelę, Tadeusza Wardyńskiego** i **Józefa Bielska** – z Mszany Dolnej; **Jana Piekarczyka** z Raby Niżnej, **Stanisława Kowala** z Olszówki, **Wojciecha Wojciarzyka** z Lubomierzca, **Stanisława Stecka** z Łętowego, **Franciszka Pietraska** z Glisnego, **Stanisława Ziębę** z Kasinki Małej, **Franciszka Skowronka** z Kasinki Wielkiej, **Franciszka Szatka** z Zahra (rodem z Kasinki Małej) oraz Klub Sportowy „Maraton" z Mszany Dolnej.

Przez cztery lipcowe dni muzyka i śpiew niosły się po stokach Lubogoszczy i doliną rzeki Mszanki. Zachwycili wszystkich skoczne melodie kapeli „Kasnica", zespoły „Mikutowianka" i „Raby". Podobały się kapele strażackie z miasta i gminy Mszana oraz z Rabki. Były skoki spadochronowe wykonywane przez członków Aeroklubu Tatrzańskiego. Był turniej, w którym Olszówka minimalnie pokonała Kasinę Wielką. Poza prezentacją dorobku gospodarczego i kulturalnego rywalizowano m.in. w strzyżeniu owiec, pilowaniu drewna, przeciąganiu liny, młóceniu zboża cepami. Sołtysi strzelali rzuty karne, gospodynie współzawodniczyły w warzeniu regionalnego jadła.

Były też zawody ochotniczych straży pożarnych – wśród seniorów OSP z Mszany Dolnej wyprzedziła drużynę zakładową „Inco" i drużynę z Raby Niżnej. Wśród młodzieży zwyciężyły dziewczęta z Mszany Dolnej, zaś wśród chłopców OSP z Raby Niżnej. Towarzyszył zawodom przegląd orkiestr dętych.

Młodzież przebywająca tutaj na kolonii rywalizowała w zawodach sportowych i w turnieju piosenek (wspólnie z rówieśnikami z NRD). Bezkonkurencyjny 10-latek, Guczo, z kolonii krakowskiego „Instalu" zebrał zasłużone brawa. Wieczorami powodzeniem cieszyła się dyskoteka gromadząca na płycie stadionu codziennie po kilkaset osób.

Dodać trzeba, że z okazji Lipcowego Święta miejscowy zarząd LOK i Klub Oficerów Rezerwy zorganizowały zawody strzeleckie. Najcelniej trafiali w tarczę **Bogusław Burkowicz** z Kasinki Małej i **Marek Drewniak** z Mszany Dolnej. Drużynowo wygrała reprezentacja „Inco", przed Tartakiem i GS „Samopomoc Chłopska".

Zdał egzamin handel, organizując zaopatrzenie dla tysięcy uczestników Dni; nie zawiedli rzemieślnicy – fundując nagrody dla zwycięzców różnych konkurencji.

Odnotujmy, że sprawcami całego przedsięwzięcia byli: Rada Narodowa, naczelnik miasta i gminy oraz tutejszy Ośrodek Kuliury.

JERZY BODZIONY

Zaprosili nas

Wydział Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Urzędu Wojewódzkiego oraz Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu „Na poplenerową wystawę pasteli „Pieniny"88":

- Muzeum Regionalne PTTK w Muszynie na wystawę malarstwa Aleksandra Judziewicza – ekspozycja czynna do 30 sierpnia br.
- Klub Sportowy „Limanovia" w Limanowej na IX Jubileuszowy Międzynarodowy Turniej Piłki Nożnej Juniorów, pod patronatem Towarzystwa Miłośników Ziemi Limanowskiej;
- Komenda Wojewódzka Ochotniczych Hufców Pracy na II Międzynarodowe Seminarium „Młodzież dla Pokoju".

JAWORZNA

Kilka kilometrów na północny wschód od Limanowej, w gminie Laskowa – jak to się tutaj mówi: „na górach" – leży wieś Jaworzna. Jej „osia" jest potok wypływający na północnych stokach należącej do Pasma Lososińskiego góry Sałasz (909 m). Od wieków dolina potoku prowadziła jedyna droga komunikacja „gdzie re" wsi z „dołem". Ten nieformalny podział ogarniał w myśleniu mieszkańców Jaworzny niebagatelną rzecz – wiadomo: „u góry" – czyli w osiedlach leżących tuż pod Salaszem, jest gorsza gleba, więcej kamieni, zimniej. No i dalej – do gminy, lekarza, przystanku autobusowego. Kościół, szkoła i sklep sprawiedliwie stoją w połowie drogi, i każdy, idąc tam lub wracając – ma pod górę. Ale sprawiedliwości – twierdzą ci z góry – i tak nie ma, bo z dołu prowadzi wygodna asfaltowa droga, a oni muszą przejść po błocie.

Jaworzna to wioska, gdzie rodzą się ludzie dzielni. I prawdziwi. Tak w 1902 r. urodził się **Władysław Dunarowski**, znany pisarz, zmarły w końcu ubiegłego roku, autor poczytnych powieści („Ludzie spod miedzy", „Łzy krzywdy", „Lato w Gorcach", „Przygody Małgorzaty") oraz wielu zbiorów opowiadań. Najczęstszymi bohaterami utworów Dunarowskiego były właśnie mieszkańcy rodzinnej Jaworzny, a ich problemy – kanwą refleksji pisarza na temat przemian obyczajowości i osądów moralnych.

Z Jaworzną pochodził również **Stanisław Augustyn** (1902-1943) genialny wprost samouk rzeźbiarz ludowy, któremu realizację swych projektów powierzali znani architekci. Wzniósł kościoły w Jaworznej, w Krasnym koło Jodłownika i Królówce koło Bochni, budynek mleczarni w Łososinie Górnej oraz głowny ołtarz tymbarskiej „Owocarni". Z Jaworzną związany jest dramaturg i reżyser, wywodzący **Andrzeja Janasa**, noszącego od swej bujnej, kędzierzawej brody, niespotykanej dawniej na wsi, przydomek „Czarny". Nie tylko zresztą broda wyróżniała go ze społeczności rodzinnej wsi – Janas był utalentowanym rzeźbiarzem, pozostawił po sobie wiele przydrożnych figur, zdobiących dziś okolice Jaworznej, Laskowej, Zmiącej i Ujanowic. Nosił jeszcze inny, daleko weselszy przydomek „Dupalja". Janasowi też przypisują żartobliwe powiedzenie, charakteryzujące niedostatek wiejskich dłubaków, wypowiedziane przy ukończeniu figurką Frasobliwego, której nie udało się mu sprzedać na jarmarku – *Tyś mnie, Boże stworzył, jam Cię zrobił, a kupić Cię ni mo kto.*

★

W miejscu „dolnej" części dzisiejszej Jaworznej istniała niegdyś wieś o nazwie Szymańczowa lub Wola Szymańczowa. Wspomniana jest dokument Kazimierzy sądecki Zmiącej z 1370 r. Za czasów Jana Długosza: *Szymańczowa należy do parafii sporoszyńskiej i podlega Wolu w sądzie dla wioski Łososiny stanowi własność starościńskiego klasztoru Klarysek.* Nasz znakomity historyk pisze, *iż znajduje się tam 1 łan kmiecy, z którego czynsz wynosi 6 groszy. Tenże wspomniany kmieć nie odrabia ani płaci. Jest tam także sołtys, posiadający ułanne role od kmiecych, płaci 5 groszy. Resztę pól rzeka Łososina zabrała. Nie ma tam ani karczmy ani zagrodnika.* Wieś ta – podobnie jak i inne – składała wówczas dziesięcinę biskupia krakowskiego.

Związek pomiędzy Szymańczową (czy Wolą Szymańczową) a dzisiejszą Jaworzną staje się oczywisty, zwłaszcza w świetle późniejszych dokumentów, w których te wioski wymienione są razem. Szymańczową występuje jeszcze w dokumentach z XVI w., później najprawdopodobniej połączona zostaje z Jaworzną.

W 1698 r. Jaworzna liczyła 10 gospodarstw kmiecych, 7 zagrodniczych, 5 chałupniczych i 6 komorniczych. Podobnie jak i inne wsie klasztorne, po I rozbiorze Polski przeszła na własność skarbu cesarskiego w Wiedniu, a później w ręce prywatne. U schyłku XIX w. dawne majątki dworskie uległy parcelacji pomiędzy miejscowych chłopów.

★

Na przykładzie Jaworznej widać małość przykładu, iż manna nikomu z nieba nie spadnie. Mieszkańcy Jaworznej widzieli, że czas biblijnych cudów już dawno minął, a najpewniejsze jest liczenie na samych siebie. Najpierw więc, jeszcze przed wojną, sami wybudowali kościół i plebanię; nie trzeba już było godzinami wędrować do dalekich Ujanowic. Później był most przez rzekę Łososinę, łączący wieś z szosą prowadzącą do Limanowej i Nowego Sącza. Dzisiaj już tylko starzy pamiętają trudne przeprawy w brodi i wąską, ale długą kładkę, która zabierała każda większa woda. A opwieści o przechodzeniu przez Łososinę za pomocą wysokich szczudeł lub kosiek młode pokolenie przyjmuje jako anegdotę.

A później, już po wojnie, elektryfikacja i budowa nowej szkoły.

Szczególnie „ruszyło" we wsi, gdy sołtysem wybrany został w 1973 r. **Stanisław Gawron.** Miał dopiero... 27 lat i choćby z racji wieku widać było, iż nie będzie to sołtys sobalowy. We wsi cieszył się autentycznym mirem – po ojcu przejął 10-hektarowe gospodarstwo, które urządzać zaczął po nowemu. A więc nie tylko nowoczesny, obszerny budynek mieszkalny, ale i obora nastawiona na hodowlę bydła opasowego i mlecznego; pod folią plancja ogórków. W gospodarstwie to nawet może ważniejsza jest od sołtysa zona **Maria**, dla której usiąść za kierownicę traktora czy „malucha" to tyle samo, co ugotować smaczny obiad. Pan Stanisław przyznaje, iż bez pomocy żony nic by społecznie nie zrobił, po prostu brakłoby czasu. Dodajmy, iż Gawronowie dorobili się również ośmiorga dzieci, z których naprawdę mogą być dumni – czwórka uczęszcza do szkoły muzycznej w Limanowej, jeden syn do Liceum Muzycznego w Tarnowie. Totez w domu trochę jak w filharmonii – w każdym kącie instrument muzyczny.

Powróćmy jednak do spraw publicznych. „Przebudowę" wsi zaczął sołtys od drogi imoków. I to zarówno tych, z których korzystała cała wieś, jak i prowadzących do poszczególnych osiedli. Dzisiaj najgorzej ponoć dojechać do sołtysa, ale jest już nowy most, bez barier jeszcze to prawda, lecz przejazd cięższym wozem nie łączy się z ryzykiem kąpieli w jaworznańskim potoku. W 1984 r. oddano do użytku 2600 metrów drogi asfaltowej, w 50 proc. wykonanej w czynie społecznym. Przy oficjalnym oddaniu tej ważnej dla całej wsi inwestycji udało się jeszcze załatwić dalsze 500 m asfaltowego dywanika, który co prawda pokrywa tylko pół szerokości drogi, ale ułatwia przejście i dojazd do centrum wsi. Przebudowano również długi most na rzece Łososinka – trzeba tylko położyć na nim nową nawierzchnię (wystąpiec z konstrukcji zalastwa grozą uszkodzenia opony samochodowej).

Głównie dzięki zabiegom dyrektora szkoły – **Stanisława Fiejtka** – i pomocy organizatora kolonii przebudowano dach na szkole, a w podpiwniczeniach urządzono przedszkole. We wsi jest 14 telefonów, co warto podkreślić, bo jeszcze wiele sołectw ubiega się o bodaj jeden aparat.

Ale najważniejsze zadanie dopiero czekało: gazyfikacja. Od 11 lutego br. 76 spośród 100 gospodarstw Jaworznej pali już gazem. Ze względu na bardzo wysokie koszty nie da się tego dobrodziejstwa doprowadzić do leżących „na górach" osiedli Oślak i Jawornica. A o tym, że jest to naprawdę po gospodarsku – świadczy fakt, iż do gazowej inwestycji przyjęto 12 gospodarstw z sąsiedniej Zmiącej, którym było bliżej gaz podciągnąć od tej strony.

Za 12,5-kilometrową linią gazową Jawornza zapłaciła 11 milionów 800 tysięcy złotych, dodając do tego połączenie niefachową – kopanie rowów, dowóz materiałów, zasypywanie rur. Z dotacji budżetowych i funduszy Rady Sołeckiej uzbierano 4 mln 500 tysięcy złotych, resztę złożyła wieś. A byłoby o wiele więcej, gdyby nie upór sołtysa. Wykonawca bowiem zastosował zły przelicznik narzutów na koszty – zamiast 40 – 85 procent. Kłótnie trwały dłuższy czas, interweniowały władze gminne i wojewódzkie, sam sołtys w tej sprawie wyjeżdżał trzy razy do Warszawy. I postawił na swoim, inaczej każde gospodarstwo musiałoby dopłacić jeszcze po około 100 tysięcy złotych, a kiesa wykonawcy wzbogaciłaby się o półtora miliona.

Nie można powiedzieć, by sołtys Gawron cała gazyfikację Jaworzny przyspieszał sobie. Załatwiał sprawy zasadnicze ot, chociażby przywóz rur, po które do huty wyjeżdżał aż siedem razy. Pomogły i władze gminne, i wojewódzkie. Jaworznianie szczególnie mile wspominają posła **Władysława Sawickiego**, który pomógł wyjednać część funduszów z budżetu wojewódzkiego. No i przede wszystkim aktywna była Rada Sołecka, doraźnie zamieniona na komitet gazyfikacyjny: **Antoni Oleksy, Stanisław Oleksy, Jan Augustyn, Aleksander Plawecki, Jan Pajor i Bernard Bukowski.** Interesy 12 gazyfikowanych gospodarstw ze Zmiącej reprezentował **Jakub Rosiek**.

Pytam sołtysa, jakie sprawy w Jaworznej są teraz najpilniejsze do załatwienia. Mieszkańcy – szczególnie kobiety – upominają się o punkt szczepienia dzieci. Rozwiązania wymaga również sprawa opieki stomatologicznej – Jaworzna formalnie korzystać może z usług dwóch ośrodków zdrowia: w Laskowej i Ujanowicach, ale obydwa mają kłopoty z dentystami. I jeszcze jedna sprawa: połączenie systemu dróżek w „górnej" części wsi z drogą prowadzącą przez Sarczyn do Limanowej. Dla położonych tam gospodarstw otworzyłoby to okno na świat, skracając dojazd do najbliższego miasta o około 15 km.

Fot. JAN CIEPLIŃSKI

Jerzy Masior

Moje jezioro

W zatoce mułu
obcy pień kotwiczy korzenie
— martwa ryba
wypływa za rybą.
Pogoda gorzkichżali
— płytkie smętki
skreślonych krajobrazów
wypasów żarłocznych gęsi.
Rzeka martwych kropli
jezioro konającego dna

Prorocy
zaproszeni na wieczernik
przejdą suchą stopą
z łatwą przepowiednią.

Znamirowice, 31 lipca 1988

Lato '88

Przebywają w naszym regionie goście z całej Polski. Czy organizatorzy wypoczynku wypełniają należycie swe obowiązki, czy zaopatrzenie, warunki noclegowe, higiena przygotowywania posiłków, bezpieczeństwo letników — są na odpowiednim poziomie? Pełną odpowiedź na to tylko będziemy znać po wakacjach. Na razie skorzystaliśmy z zaproszenia Wydziału Kultury Fizycznej i Sportu Urzędu Wojewódzkiego i wybraliśmy się — wraz z przedstawicielami Sanepidu, PIH, MO, Straży Pożarnej — na kontrolę kolonii w rejonie Krynicy i Jordanowa.

21 lipca odwiedziliśmy Szkołę Podstawową nr 3 przy ulicy Bieruta w Krynicy, gdzie na kolonii przebywa 127 dzieci pracowników Huty im. Lenina z Krakowa oraz trzydziestoosobowa grupa młodzieży z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Wizyta zakończyła się ukaraniem mandatami osób odpowiedzialnych za brud w stołówce i nieprzestrzeganie przepisów przeciwpożarowych. Dała się również zauważyć ogromna różnica pomiędzy porządkiem, jaki panował w salach kolonistów, a rozprzęgnieniem i bałaganem w sypialniach ich zagranicznych gości.

Drugim kontrolowanym obiektem był Dom Wczasowy „Lido" społemowców z Rzeszowa, usytuowany przy tej samej ulicy. Tutaj komisja nie miała żadnych zastrzeżeń. Na pochwałę zasłużył również Ośrodek Wczasowo-Leczniczy „Daglezja" Zjednoczonych Zespołów Gospodarczych. Niedawno oddany do użytku, kierowany jest wymagającą i doświadczoną ręką Stanisławy Zielińskiej. W stylowo urządzonych wnętrzach ciesz oko lad, w kuchni — nieskazitelnie białe fartuchy obsługi.

Zupełnie inną sytuację zastaliśmy w ośrodku campingowym OST „Gromada" — w Czarnym Potoku. Najgorzej wypadła ocena stołówki — uragające wszelkim zasadom higieny przygotowanie posiłków, brud w kuchni i na zapleczu oraz bałagan w magazynach żywności — zapłacili wysokie kary szef kuchni i personel. Z uwagi na powtarzające się zaniedbania, komisja wystąpiła z wnioskiem do organu nadrzędnego o rozwiązanie umowy z jedynem stołówki, Antonim Wierciochem. „Dziki" lokator jednego z domków był powodem ukarania mandatem kierownictwa za niedopełnienie formalności meldunkowych i zapowiedzenia szerszej akcji kontrolnej organów Milicji Obywatelskiej.

Ostatnim z kontrolowanych w tym dniu obiektów była Szkoła Podstawowa w Tylicznu, gdzie na kolonii wypoczywa 19 dzieci pracowników PSS „Społem" z Katowic. Poza ogromną ilością much w budynku, krążących w tej pozbawionej kanalizacji miejscowości, nie zauważono większych uchybień w działalności placówki.

Czwartek — 28 lipca, inspekcja kolonii rozmieszczonych w rejonie Jordanowa. Na obrzeżu miasta, w szkole podstawowej, ulokowała się kolonia dzieci pracowników Przedsiębiorstwa Usług Socjalno-Bytowych Budownictwa Komunalnego z Łodzi i Warszawy. Pierwszą spotkaną osobą jest sprzątający schody chłopiec, nie kolonista. Podjął tę pracę, aby zarobić na dalszy ciąg wakacji, by móc — jak powiedział — pojechać „pod namiot". Po chwili pojawiła się kierowniczka. Członkowie komisji przystąpili do zwykłych czynności. Zastrzeżeń sporo. Wokół kuchni ławki gan, brak próbek posiłków, sprzęt przeciwpożarowy zdekompletowany. Dwie panie kierowniczki, jak posługiwać się gaśnicą pianową. Niedociągnięcia tłumaczono trzydniowym zaledwie pobytem i brakiem czasu na zagospodarowanie się. Kontrola zakończyła się dwoma mandatami po 2 tys. złotych dla kierowniczki i szefowej kuchni, a także zapowiedzią powtórnej wizyty. Dość urozmaicony jest natomiast program pobytu dzieci na tej kolonii: wycieczki, spotkania z interesującymi ludźmi, gry i zabawy. Przewidziano też pomoc dla rolników przy zbiorze siana.

Dzieci pracowników Huty im. Lenina wypoczywają w internacie Liceum Ogólnokształcącego w Jordanowie. Przy wejściu dyżur pełnią: Piotrek Błachut, Krzysiek Biernat, Darek Gałązka i Tomek Kąkolewski. Chętnie podejmują rozmowę. W sumie bardzo zadowoleni z pobytu na kolonii. Kiedy członkowie komisji dokonywali lustracji, zainteresowałem się jadłospisem. Śniadanie: biała kawa, pieczywo, jajecznica, pomidory, masło i marmolada. Obiad: zupa koperkowa z ziemniakami, gołąbki z mięsem i ryżem w sosie pomidorowym, kompot oraz jabłka. Kolacja: sałatka z rzodkiewek, ogórków i jajek, herbata, pieczywo z masłem. Dzienna stawka żywieniowa wynosi łutaj 400 złotych. Trzeba dobrze liczyć pieniądze, aby dzieci były zadowolone i syte. Pomyślano o kąciku dla „głodnego". Stoi tam zawsze pojemnik z herbatą, jest chleb i marmolada. Tutaj inspekcja obyła się bez mandatów. Kontrolujący poprzestali na kilku uwagach.

W Malejowej dzieci pracowników spółdzielni rolniczych z Elbląskiego umieszczono w obiekcie prowadzonym przez prywatne Biuro Turystyczne Jacka Majcherka z Bielska-Białej. Mieszkają w domkach letniskowych. Cała grupa przebywała na wycieczce. Również tutaj nie stwierdzono większych nieodciągnięć.

Najlepsze wrażenie sprawiła kolonia w Naprawie, gdzie odpoczywają dzieci pracowników kilku przedsiębiorstw z Krakowa. Zastaliśmy je w czasie poobiedniej sjesty, wypoczywały po wyprawie do lasu na grzyby i jagody. Dyżur pełniły tylko Dorota Augustyn i Danuta Boczek. Pytam, co wiedzą o Jalu Kurku i jego pisarstwie, boć jesteśmy w jego Naprawie. Dziewczynki chętnie odpowiadają, ze znajomością rzeczy.

Na terenie kolonii, którą umieszczono w szkole podstawowej, panuje ład i porządek. Dzieci chwalą sobie dobre powietrze i ładną okolicę. Mogą korzystać do woli z urządzeń sportowych szkoły.

AGATA PAJDA
JERZY LIPOWSKI

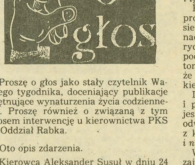

Proszę o głos jako stały czytelnik Waszego tygodnika, doceniający publikacje piętnujące wynaturzenia życia codziennego. Proszę również o związaną z tym głosem interwencję u kierownictwa PKS — Oddział Rabka.

Oto opis zdarzenia.

Kierowca Aleksander Susuł w dniu 24 lipca br. obsługiwał kurs pospieszny relacji Kraków — Rabka. W tym dniu wracałem z rodziną z wczasów. Jasne jest, że będąc na urlopie z żoną i dwójką małych dzieci miałem ze sobą trzy pokaźnych rozmiarów torby podróżne. Ponieważ po podstawieniu autobusu na stanowisko kierowca nie otworzył bagażnika zapytałem: — *Czy można prosić o otwarcie bagażnika?* — Wobec braku odpowiedzi, chociaż pytałem dość głośno i stałem blisko kierowcy, pytanie ponowiłem. Tym razem usłyszałem głośno i wyraźnie tonem podniesionym: — *Nie widzi pan, że bagażniki są zardzewiałe?*

To gdzie w takim razie mam włożyć bagaże? — pytałem dalej.

Usłyszałem: — *To gdzie się pan z takimi bagażami wybierasz w podróż? Ponadto jest to bagaż osobisty i bierz go pan do autobusu, bo go zaraz mogę zmierzyć i tyle!*

Przyznam, że osłupiałem. Zamiast przeprosin za niewygodę (w końcu w autobusie pospiesznym, po wcale nie tanich cenach biletów) — usłyszałem, ze trzy sprych rozmiarów torby podróżne to bagaż podręczny, osobisty! Zostało to podane tonem jednoznacznie świadczącym o tym, że w tym autobusie panem i władcą jest kierowca.

Dopiero po mojej następnej interwencji i przypomnieniu, że pan kierowca nie jeszcze przełożonych, do których się mogę odwołać, zostały otwarte tylne drzwi, ale z komentarzem: — *Kładź pan to z tyłu i nie strasz mnie!*

Widząc dużą ilość pasażerów i nie chcąc zajmować bagażami miejsc siedzących ani blokować tylnych drzwi — z trudem ulokowałem bagaże między oparciem tylnych siedzeń a tylną szybą. O czystości tego miejsca, ze względów estetycznych, zamilczę. I myślę, że nie zawracałbym sobie tym wszystkim głowy, gdyby nie wydarzenia, które miały miejsce później. Otóż pan Susuł, urażony w swojej dumie, po „zabiletowaniu" pasażerów przeprowadził kontrolę posiadanych przez moją żonę biletów, sądząc że siedzący obok mnie 8,5-letni syn, zajmujący oddzielne miejsce, nie ma biletu. Przeprowadził więc, miast skrutnu, atak na upominającego się (w końcu o swoje) pasażera.

Bardzo się jednak pomylił. Syn posiadał biletu miał, gdyż nie zwykłem oszczędzać na zdrowiu dziecka podczas długiej (ponad 20-godzinnej) podróży. Fakt ten bardzo rozeźlił kierowcę. Rozpoczął więc kalanie się do pasażerów siedzących na przednich siedzeniach: — *Od godziny czwartej człowiek pracuje, a tu go jeszcze straszą. Jak miałem 3 lata wybuchła wojna i się nie bałem, to teraz też się strachów nie boję!*

Słowa te pozostawiam do oceny zainteresowanym, podobnie jak poziom intelektualny pana kierowcy, który w Rabce przy wyjmowaniu bagażu, pokazując na zardzewiałe bagażniki skonstatował: — *Widzicie, dobrze żeście tam nic nie ułożyli, bo mieliby'ście teraz potargane majtki i muszelbyście kupować.*

W związku z tym zdarzeniem mam kilka pytań pod adresem kierownictwa PKS Oddział Rabka:

1) dlaczego w Koszalinie czy Kołobrzegu kierowcy mają sprawne bagażniki i otwierają je po podjechaniu na stanowisko, a przed sprawdzeniem biletów?

2) z czym kojarzą się Kierownictwu ostatnie podwyżki cen biletów autobusowych? Czy tylko z pogorszeniem jakości usług i nieuprzejmością kierowców pokroju pana Susuła?

3) na co liczy Kierownictwo dając na taką trasę samochód w złym stanie technicznym? Na obojętność pasażerów, czy na umiejętność zastraszenia ich przez kierowców?

4) czy pan kierowca Susuł zdaje sobie sprawę, że przedsiębiorstwo, w którym pracuje, jest dotowane przez Państwo, a więc i jego stanowisko pracy utrzymywane jest przez tych pasażerów, których obkrzewiazy?

5) czy kierownictwo rabczańskiego PKS pojmuje, iż tacy kierowcy psują markę wielu dobrym pracownikom tego Oddziału — wymienię np. Stanisława Knapczyka, Stanisława Krzysztofiaka, Stefana Chmiela, którzy mimo wielu trudności wykonując zawód kierowcy, traktują pasażerów po ludzku i z uśmiechem.

Uważam, że ten przypadek ma szerszy wydźwięk społeczny. Otóż pan Susuł i jemu podobni czują się bezkarni i nietrażtępieni, choć są mierni. Powyższa skarga ma na celu udowodnienie panu Susułowi, że za zaniedbywanie obowiązków służbowych należy ponieść karę. Może zanim kierownictwo PKS w Rabce zacznie się tłumaczyć trudnościami kadrowymi i techniczmymi, zaprosimy kierowcy Susułowi sprzątanie placu zajezdni w Rabce i mycie autobusów? Może nauczy go to kultury w obcowaniu z ludźmi, której mimo siwych włosów ma bardzo mało.

Kończąc oczekuję wyciągnięcia sankcji dyscyplinarnych w stosunku do wyżej wymienionego, jak również wobec pracowników winnych zaniedbań stanu technicznego pojazdu. Proszę również o poinformowanie mnie o sposobie załatwienia sprawy przez Kierownictwo PKS w Rabce i o publiczną odpowiedź na postawione pytania na łamach „Dunajca".

MAREK LUTY
Rabka

Na serpentynach w Dąbrowej

Fot. Jerzy Cebula

Morstin w nocnej koszuli

Ludwik Hieronim Morstin, znany pisarz, dramaturg i poeta, którego setna rocznica urodzin minęła w roku 1986, mieszkał z żoną przez 15 lat w Zakopanem na Kasprusiach, w willi „Kozica". Jaki był w życiu prywatnym, na co dzień? Opowiedziała mi o tym **Katarzyna Popielakowa**, która przez wszystkie lata zakopiańskie prowadziła państwu Morstinom gospodarstwo domowe i traktowana była przez nich jak członek rodziny.

To było wzorowe małżeństwo, kochali się bardzo, żyć bez siebie nie mogli. Oboje mieli słabe zdrowie, starali się zawsze pogodzić sobie wzajemnie. Pewnego dnia, wczesnym rankiem wstali cichutko, w tajemnicy jedno przed drugim, aby napalić w piecach i niespodziewanie spotkali się z podpałką w ręku. Byli bardzo niezaradni w sprawach powszedniego życia, niepraktyczni, a pan Morstin był nieprawdopodobnie roztargniony. Np. żona dała mu pieniądze na kupno znaczków pocztowych, które miał nakleić na listy i wrzucić korespondencję do skrzynki pocztowej. Wziął pieniądze do jednej ręki, do drugiej listy i tak szedł przez miasto; na poczcie — zamyślony — listy wrzucił do skrzynki, a pieniądze przyniósł z powrotem do domu. Oj, co to było — telefony, interwencje, szukanie nie opłaconych listów w stosie przesyłek pocztowych. Pan Ludwik był roztargnienie, zamiast chustki do nosa pchał sobie czasem do kieszeni jakiś szczegół bielizny pościelowej, np. poszewczkę na jasiek. A zdarzyło się, że po premierze któreję ze swych sztuk, wywołującej niezrozumiałą, nienormowaną publiczność, wyszedł na scenę i wzruszony powcajami wyciągnął z kieszeni... ręcznik. Dyrektor jednego z teatrów lwowskich zapowiedział przyjazd do Zakopanego, aby zabrać pana Morstina na premierę jego sztuki. W dniu wyjazdu pod „Kozicą" urządził sobie pożegnalną jakąś samochód cięższy. Gdy nadjechał ów dyrektor, Morstina nie było w domu. Znaleźli go niedzięgo w ciężarówce w oczekiwaniu na odjazd. Kiedyś znów poszedł do jednego z ministrów na obiad do „Lwowianki" na Bystrem. Opowiadał ze śmiechem po powrocie do domu, jak to przyglądali mu się wszyscy ze zdziwieniem, bo... na koszuli dzienną wdział koszulę nocną. Oboje państwo Morstinów nie dużo pocuciie humoru i zaśmiewali się nieraz z tego rodzaju roztargnień, opowiadając o nich swej gospodyni i gościom. — *Kotuś upratam pana* — mówi pani Katarzyna — *jasny płaszcz, prochowiec. „Mogła Popielcia zostawić mi chociaż jedną plamę — powiedział pan Ludwik — teraz będę latał po Krupówkach jak wariat, w czystym płaszczu"...*

Państwo Morstinowie znani byli z wielkiej gościnności. Ich dwór w Pławowicach pełen był zawsze ludzi, a w czasie okupacji mieszało tu wielu uciekinierów z miasta, chowając się przed represjami. W zakopiańskiej „Kozicy" goście schodzili się już od samego rana: o godzinie 10 herbata, o 11 — kawa, na podwieczorek też przychodzili, a ileż to razy trzeba było przygotowywać stoły na kilkadziesiąt osób. Specjalem kuchni było kołduny litewskie, na które zapraszani tłoślnem zjeżdżali goście z Warszawy. „Popielcia" o wszystkim pomyślała, wszystko przygotowała, wszystkich nakarmiła. Częstym gościem w „Kozicy" była Maria Kasprzicowa, która co tydzień załatwiała w Zakopanem sprawy gospodarczo-domowe Harendy i zwykle wstępowała na obiad do państwa Morstinów.

A jak pracował pisarz, czy miał jakiś system, wyznaczone godziny pracy? — *Bywało i tak* — mówi pani Katarzyna — *że wylatywał z łazienki ze śladami mydła na twarzy i jak do biurka z jednym policzkiem nie ogolonym. Albo przy obiedzie zrywał się nagle od stołu, bo sobie coś przypomniał i musiał to zaraz napisać. Poza tym pracował w przerwach między wizytami gości.*

Pani Morstinowa miała klasyczne rysy twarzy, jako 16-letnia panienka pozowała do portretu królowej Jadwigi, a na przedwojennych srebrnych 10-złotówkach wybito jej wizerunek — kobiecy, w kloszu. Zdarzyło się kiedyś, że z mężem zasiadła w Watykanie do obiadu razem z dostojnikami kościelnymi (oboje byli bardzo religijni i praktykujący, a pan Morstin piastował godność honorowego członka papieskiej straży przybocznej). Papież Pius XI powiedział wskazując na panią Ninę: — *Jeśli takie są Polki, to Polska musi być piękna.*

Śmierć żony Morstin przeżył bardzo boleśnie, stan jego zdrowia pogorszył się nagle i po kilku miesiącach (1966) pisarz zmarł.

Katarzyna Popielakowa wszystkie lata swej pracy w „Kozicy" wspomina ze wzruszeniem. Państwo Morstinowie chwalili się swoją gospodynią, była przedstawiana różnym znamienitym gościom. Opowiedziała mi z wielkim przejęciem i uczuciem o wszystkim, co ją łączyło z Morstinami, którzy byli ludźmi o gołębich sercach, o niespotykanej wprost dobroci i wielkiej kulturze osobistej. Gdy wyjechali z Zakopanego do Warszawy pisywali do niej listy i pamiętali o ukochanej „Popielci" aż do końca swego życia.

ALEKSANDER ZACZYŃSKI

Andrzej B. Krupiński

Naddunajeckie grody, stróże i zamki (19)

Niedzica — spadek po Berzeviczych

Pomimo tego, iż zamek niedzicki jako jedyny spośród zamków naddunajeckich nie popadł w ruinę i po dziś dzień jest użytkowany, a nawet zamieszkały — nie doczekał się pełnej monografii.

Najobszerniejsze jak dotąd omówienie jego dziejów, na którym opierał się przede wszystkim profesor Alfred Majewski, znajdujemy w siedmiotomie *Słownika geograficznego królestwa polskiego i innych krajów słowiańskich*, wydanego w 1886 roku. Ale i tam natrafiamy na poważne luki obejmujące całe dziesięciolecia historii tego obiektu. Stąd też nie wiemy zupełnie, jakie były koleje losów zamku od chwili jego powstania aż po początek XV wieku. Wiadomo tylko, że przez cały ten czas pozostawał w rękach potomków Jana i Michała Berzeviczych. Pierwsza pewna wiadomość na jego temat pochodzi dopiero z 1425. Był on wtedy własnością Jana Schwarca z Łomnicy, a następnie jego syna, również Jana zwanego jak i ojciec Czarnym, zmarłego bezpotomnie w roku 1470.

Po śmierci tego ostatniego zamek objął w posiadanie — podobno nie bez użycia siły — Emeryk Zapolya, naówczas żupan spiski i namiestnik króla węgierskiego. Za jego to sprawą zamek został rozbudowany i dodatkowo wzmocniony, to pomimo, iż już wcześniej był dość warowny, tak że husyci, którzy w roku 1431 spustoszyli Spisz niszcząc klasztor Kartuzów w pobliskiej Lechnicy, ominęli przezornie Niedzicę. Przypuszczamy, że wzniesiono wówczas niektóre mury obwodowe oraz baszty i zabudowania mieszkalne. Z braku przekazów pisanych trudno jest jednak ustalić zakres tych prac, a i z murów zamkowych niewiele da się dzisiaj wyczytać.

Po śmierci Emeryka żupanem spiskim, a zatem również właścicielem zamku w Niedzicy, został w roku 1487 syn jego Szczepan (to właśnie jego córka Barbara została w roku 1512 pierwszą żoną króla Zygmunta Starego). Po nim żupanem na Spiszu i panem Niedzicy, a z czasem również wojewodą siedmiogrodzkim, został jego syn, Jan Zapolya, przyszły król Węgier, jedna z najciekawszych i chyba najbarwniejszych postaci naszych niegdysiejszych południowych sąsiadów, którego kariera polityczna zaczęła się na dobre po bitwie pod Mochaczem w roku 1526, podczas której walcząc z Turkami zginął król węgierski Władysław II. Wtedy to szlachta węgierska obwołała Jana Zapolyę królem. Koronacja nastąpiła 11 listopada tego samego roku. Jednocześnie stronnicy Habsburgów wprowadzili na tron węgierski księcia Ferdynanda, brata cesarza Karola V, co w konsekwencji doprowadziło do długotrwałej wojny domowej (podobnej do tej, jaka była udziałem Polski w latach trzydziestych XVIII wieku, gdy królami obwołano jednocześnie Stanisława Leszczyńskiego i Augusta III Sasa). W zmaganiach tych Zapolyę wspierał dyskretnie Zygmunt Stary, a zupełnie otwarcie pomagali mu polscy możnowładcy, głównie hetman wielki koronny Jan Tarnowski i Hieronim Łaski. Ten drugi podjął nawet uwieńczone powodzeniem starania o udzielenie pomocy Zapolyi przez Turcję, w czym wspierali go dyplomaci weneccy i francuscy. W rezultacie 6 marca 1528 roku doszło do bitwy nad Cisą, w której po stronie Zapolyi udział wzięli jego węgierscy stronnicy oraz posiłki z Polski i Turcji, a po przeciwnej zwolennicy Ferdynanda oraz wojska cesarskie dowodzone przez Jana Katzianera. W bitwie tej Katzianer okazał się zwycięzcą, a Zapolya zmuszony został do opuszczenia Węgier. Najpierw znalazł schronienie u wojewody podolskiego Marcina Kamienieckiego w jego zamku Odrzykoń (dawniej Kamieniec) pod Krosnem, później udzielił mu gościny w Tarnowie Jan Tarnowski. W tym też czasie zaczął się najburliwszy okres w dziejach zamku niedzickiego.

Już przebywając w zamku Jana Tarnowskiego Jan Zapolya postanowił wynagrodzić Hieronimowi Łaskiemu jego wielkie zasługi. Jako zapłatę nadał mu przydział zamku komitatu spiskiego oraz na własność Kieżmark. Niedzicę i cały kieżmarski klucz królewsko-węgierskich majątków Łaskiemu w tej sytuacji podpisał w grudniu 1528 roku. Szkopuł jednak w tym, że hojny król Węgier przebywał wówczas na wygnaniu i nadanie owo podobne było gestowi sienkiewiczowskiego pana Zagłoby. Tak by się w każdym razie mogło wydawać. Trzeba jednak wziąć pod uwagę przedsiębiorczość Łaskiego, który niemal natychmiast rozpoczął prywatną wojnę o Kieżmark. Już w październiku tego samego roku wyruszył wraz z Zapolyą na Węgry na czele naprędce zorganizowanych oddziałów składających się z zabłąkiów rozbitych aparatczyków Wołochów (Rumunów) jak nawiązał swych Wołochów przez Pieniny pod zamek niedzicki. Po zdobyciu go ruszył na Kieżmark. Zajął wy z kolei miasto i tamtejszy zamek, osiadł w nim, a złupiwszy handlową konkurentkę Kieżmarku, Lewocę, stworzył sobie za przyzwoleniem Zapolyi quasi-państewko, z którym musieli się odtąd liczyć obaj walczący ze sobą wegierscy magnaci, a które w rękach Łaskich pozostawało przez około pół wieku. Jednocześnie, niejako przy okazji, został też wojewodą siedmiogrodzkim i wojewodą ziemi tamtejszej, Siedmiu Grodów.

Jednakże sprawa zupaństwa spiskiego nie przedstawiała się tak zupełnie jasno. Okazało się, że Łaski nie był jedynym wojewodą sprawującym w tym czasie urzędu; drugim z woli króla Ferdynanda został Franciszek Batthyany. Również i on natychmiast po uzyskaniu nominacji wysłał na Kieżmark swego zastępcę, Mikołaja Sonkę i Franciszka Nisa, na czele zbrojnych oddziałów. Z kolei Hieronim Łaski skierował przeciwko nim Piotra Kostkę, który już wcześniej dał się poznać jako najzagorzalszy zagończyk. W rezultacie ziemia spiska została przy Łaskim. Ten jednak będąc z natury człowiekiem równie zachłannym na bogactwa co i rozrzutnym, postanowił zastawić Kieżmark Mikołajowi Minkwitzowi za sumę 6000 złotych reńskich. Jednakże wbrew umowie zamiast owego miasta oddał mu tylko zamek Dunajec, co spowodowało nowy zatarg pomiędzy Zapolyą a Ferdynandem, w który wmieszany został sam Zygmunt Stary. Ten z kolei wysłał na Spisz oddział 400 kozaków, który zajął Kieżmark i oddał go Łaskiemu. Minkwitz, będący głośnym w owych czasach awanturnikiem-kondotierem, nie dał jednak za wygraną i z końcem 1534 roku ponownie wyruszył na Spisz. Tym razem pozbawiła Łaskiego tego się szczególnie trudne, tym bardziej, że nie był przygotowany na taki obrót sprawy, a i od Zapolyi nie mógł spodziewać się żadnej pomocy. Niemniej natychmiast zorganizował dwutysięczny oddział jazdy i piechoty, z którym wyruszył na Kieżmark. I tym razem miał szczęście. Zanim bowiem przeciwcy Dunajec, dowiedział się, iż Minkwitz wycofał się ze Spisza pobity przez załogę kieżmarską. Wkrótce miało się okazać, iż nie uszedł bez kary, a wraz z podobnymi mu zabijakami — Kauffangiem, Erazmem Pflugiem i innymi, zamknął się w zamku niedzickim, skąd wyprawiał się na rozbój napadając kupców, miasta spiskie, a nawet śląskie. Dopiero po niejakim czasie udało się Łaskiemu usunąć go stamtąd i osadzić na zamku niejakiego Bobolę. Sam Minkwitz otrzymał kwaterę w lochach niedzickich, jego kompan Kauffang, jak podaje ówczesny kronikarz Marcin Bielski, upieczony został na żelaznym konniu, inni powiadają, że ścięty.

Hieronim Łaski, który jeszcze do niedawna był jednym z głównych polskich stronników Jana Zapolyi, obdarowany przez niego dobrami i urzędami, zmienił jednak front i około 1535 nawiązał dość przyjazne stosunki z jego przeciwnikiem, królem Ferdynandem. Skąd ta przemiana? Otóż rok wcześniej Jan Zapolya, nabrawszy złowrogich podejrzeń, że jego dotychczasowy sojusznik zdradza go z Habsburgami, kazał Łaskiego uwięzić na zamku w Budzie, by dopiero po interwencji sułtana Sulejmana Wspaniałego oraz Jana Tarnowskiego wypuścić go na wolność, ofiarowując w podarunku przeprosinowym miasto Debreczyn. Tak więc kilka miesięcy spędzonych w budzkim lochu przyniosły w konsekwencji Łaskiemu zupełnie niezły profit. Nie dość że przypadły mu w udziale nowe nadania, to jeszcze król Ferdynand zatwierdził wszystkie poprzednie uczynione na jego rzecz przez Zapolyę, co przypieczętował swoim podpisem: sam cesarz.

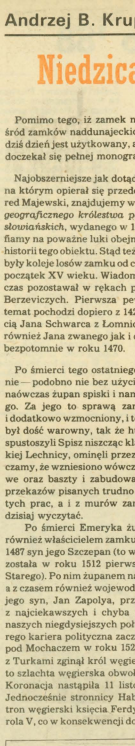

Fragment Zamku w Niedzicy

Fot. A. B. Krupiński

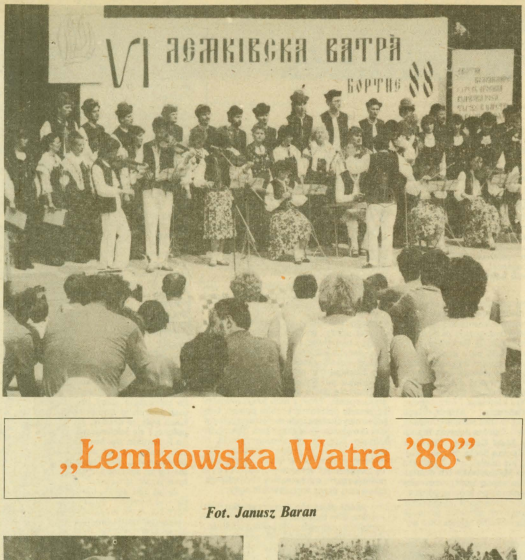

„Łemkowska Watra '88"

Fot. Janusz Baran

JAN DOPRAWA

GWIAZDOZBIÓR

Krawczyk

Nie pamiętam już dnia, w którym nadeszła ta wiadomość. Było to na przełomie czerwca i lipca. Lato nabrzmiewało ciepłem, pociągi wypełniały rozwrzeszczane gromady dzieci, nadmorskie mieściny pachnieć zaczynały frytura. Festiwal następował na finał poprzedniego festiwalu. Wesoło, pogodnie było, jak to tylko w wakacje, w tę wielką fiestę doroczną bywa.

Wiadomość wgryzła się w przyjemny nastrój rozrywkowego rozleniwienia przykrym dysonansem. Była zgrzytem w najprzedziwniejszy sposób niestosownym. I pozostawiającym w dziwnym odrętwieniu. Krzysztof Krawczyk, piosenkarz, miał poważny wypadek samochodowy. Tragedia rodziny, tragedia człowieka. Wypadek poważny na tyle, że nie można mieć pewności, czy ulubiony artysta pojawi się kiedyś jeszcze na estradzie.

Asocjacje wzbudzane u masowej publiczności przez dźwięk nazwiska jej ukochanego piosenkarza — są zazwyczaj zupełnie inne, niż te, które wzbudził gazetowy komunikat o nieszczęściu Krawczyka. Na hasło „Krawczyk" byliby dzieci wcześniej jeszcze gotowi powtórzyć zapamiętaną melodię, przywołać obraz postaci, poczuć ciepło wspomnienia chwili, której znakiem stał się K. lub jego piosenka... Tymczasem reakcja — zwykła ludzka reakcja — na nieszczęście budzi się nie w rezerwuarze asocjacji, nabytych codziennymi doświadczeniami, lecz w sferze życiowych pryncypiów, zasad moralnych. Żal, współczucie, solidarność i ikliwość, i inne stany ludzkie, o których powiedzieć można, że decydują o człowieczeństwie — odczuwa się nie dlatego, że nazwisko albo czyjaś twarz z czymś się kojarzy. Uczucie jakie musiała wzbudzić wiadomość o przygodzie Krzysztofa Krawczyka — było uczuciem zgoła innego, wyższego rzędu. Wyższego niż wszystkie dotychczasowe skojarzenia i asocjacje. Wyższego — bo znajdującego się na poziomie CZŁOWIECZEŃSTWA...

Krzysztof przez lata obecny był na polskich estradach. Pamiętali go dzisiejsi czterdziestolatkowie, dla których popisywał się donośnym głosem w „Trubadurach" (nawiasem mówiąc — zespole coraz częściej wspominanym na fali nowej nostalgii). Pamiętali Krawczyka ludzie, których młode lata przypadły na gierkowską dekadę pozorowanego sukcesu. Wówczas był to artysta samodzielny już, bodaj czy nie najpopularniejszy w naszym kraju.. Pisząc przed laty felieton poświęcony Krawczykowej popularności — opisywałem ów przedziwny pochód pierwszomajowy w Poznaniu, gdzie widziałem tysiące młodych ludzi wystylizowanych toczka w toczkę „na Krzycha". Kto nie pamięta, temu przypomnę: fryzura „karakuł", wąsik angielski, policzki czerwone, szyja szersza od głowy...

Sukcesy Krzysztofa w owych latach brały się (jak sądzili co subtelniejsi komentatorzy) z zupełnego utożsamienia artysty z psychicznymi, fizycznymi, a zwłaszcza estetycznymi cechami charakterestycznymi jego słuchaczy. Każdy wszak „przeciętny słuchacz" miał (i ma) w swym bliskim towarzystwie kogoś podobnego: grubego, niezbyt przystojnego, jakby topornego, ze skłonnością do noszenia głupawego wąsika i jeszcze durniejszego sygnetu. Zresztą prawdziwy wykład na ten temat zrobiłem już w felietonie „gwiazdozbioru" poświęconym innemu idolowi — Janowi Wojdakowi. Tylko oni dwaj w naszym kraju mieli (chciałbym nie używać czasu przeszłego!) tę właśnie cechę sceniczną, tę wspólną zdolność do bycia zaakceptowanym...

Pierwsze lata osiemdziesiąte spędził Krawczyk w Ameryce. Mit amerykański działa w polskim show-buisnessie nie mniej, niż w innych dziedzinach naszego życia (a może i więcej). Wszelako stała się rzecz dziwna. Krawczyk wrócił — i nie budował na tym micie niczego. Wręcz przeciwnie. Mówił jasno i szczerze, że mu się nie powiodło, że to nie dla niego, że nie ma szans. A przecież przez lata całe w USA grał, występował, dorobił się czegoś. Jestem przekonany, że gdyby jakikolwiek polski piosenkarz osiągnął na amerykańskim gruncie podobny do Krawczykowego status — bębnił- by o tym na prawo i lewo, chwalił się tym i puszył. Znam sam piosenkareczkę, która nosi się i zachowuje niesłychanie „z pańska" tylko dlatego, że ma męża amerykańskiego gitarzystę i czasem śpiewa w chicagowskiej knajpie „do kotleta"...

Owa skromność, brak koloryzowania itd. usposobiły mnie do Krawczyka przyjaźnie. Nie jako do człowieka (tu nigdy nie miałem wątpliwości), jako do artysty. Sztuki Krzysztofa bowiem nigdy nie ceniłem zbytnio, zdając sobie sprawę z jej estetycznej wtórności, z jej warsztatowych niedostatków i jeszcze z wielu rzeczy. Tym razem zdało mi się jednak, że artysta dojrzał, że wyłamał się z „branżowego" zakłamania i świata ułudy. Że poznał, zrozumiał swoje miejsce: pożyteczne- go refrenisty, dostarczyciela stereotypowych piosenek, wypełniacza „koncertów życzeń". A nie wieszcza, sumienia czy wzorca — jak chcą, by o nich sądzić, inni estradowi idole...

Wypadek Krzysztofa Krawczyka, wypadek, który być może kończy jego artystyczną karierę (choć zawsze jest nadzieja, przypomnijmy Annę German!) wypadł więc szczególnie nie w porę. Tyle, że każdy wypadek staje się nie w porę. Wiem to lepiej niż kiedykolwiek. Piszę akurat przykuty do ortopedycznego łóżka na drugim końcu Polski, w Gryficach. A w przerwach trzymam kciuki za Krzysztofa Krawczyka. Człowieka, który cierpi.

Elżbieta Glinka

Na ratunek

Nowy Rok chcieli powitać w górach. Tukli się pociągiem z Warszawy, potem pekaesem i zamyczeni, ale szczęśliwi, ze widzą skały Trzech Koron, ze za godzinę-dwie znajdą się z dala od miejskiego tłumu, od wszechobecnych spalin — weszli na szlak wiodący ku Przebybie. To nic, że ubrania mieli nie dostosowane do górskiej wycieczkowej, jeszcze trochę, odpoczniemy w cieple. Niewiele pomagało. Stefan tracił siły z minuty na minutę, wreszcie nie mógł już wcale — Piotr zbudował mu więc prowizoryczny szałas, okrył czym mógł — i szybko, szybko podążył z powrotem po pomoc.

Zbliżała się północ, gdy wiadomość o wypadku zaalarmowała ratowników ze szczawnickiej stacji Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Wyruszyli dwiema trasami, od Brylarki i Przysłopu, bo Piotr nie potrafił dokładnie wyjaśnić, gdzie pozostawił kolegę. Była za kwadrans pierwsza, kiedy znaleźli Stefana — nagiego, bo w szoku pozrywał z siebie ubranie, tak przemarzniętego, że później, gdy go już zwieźli na dół po udzielenia pierwszej pomocy w schronisku, doktor Berszakiewicz określił jego stan jako „niemal hibernację".

Ten sylwestrowy dzień zaczął się więc dla szczawnickich ratowników nie najlepiej. A przecież jeszcze nie wiedzieli, że za parę godzin przyjdzie im znów wyruszyć do akcji. Około godziny 18 otrzymali wiadomość, że w jednej z pienińskich wiosek zaginął dziesięciolatek. Podobno nosił się z zamiarem wycieczki, ale dorośli zlekceważyli butne zapowiedzi dziecka. Teraz trzeba go było szukać. Narastał niepokój: czy chłopiec jeszcze żyje? czy ratownicy zdołają go odnaleźć, czy wygrają wyścig z nocą i mrozem? Wreszcie, około godziny 21, odszukali dziecko w zabudowaniach dawnej osady Padoły. Zmordowani, czterdzieści minut przed północą, wrócili do opróżnioną. Zaden z nich nie miał już siły uroczyście witać Nowego Roku.

— *Ludzie lekceważą Pieniny, a zwłaszcza Małe Pieniny, Przebybę. Radziejowa, że to niby „kocie góry", bezpieczne, gdzie im do tatrzańskich wirusów* — mówi **Zygmunt Białek junior**, kierownik Sekcji Operacyjnej Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Szczawnicy, stanowiącej część Grupy Podhalańskiej GOPR. — *Tymczasem każde góry mogą okazać się niebezpieczne, jeśli pójdziemy w nie źle wyposażeni, nieprzygotowani kondycyjnie, jeśli nagle zmieni się pogoda.*

A takich nieprzygotowanych turystów lub po prostu niedzielnych wycieczkowiczów i spacerowiczów kuracjuszy jest wielu. Dlatego trzeba było pomyśleć o ratunku dla nieostrożnych. W Szczawnicy, w Krościenku mieszkała para gaprowców. Jednym z nich był doktor **Zygmunt Białek senior**. Z jego to głównie inicjatywy, wspieranej przez prezesa Rabczańskiej (obecnie — Podhalańskiej) Grupy GOPR — **Adama Jurczakiewicza** i ówczesnego naczelnika — **Tadeusza Klimiańskiego** powołana została w 1962 roku gaprowska sekcja „Pieniny". Oprócz doktora Białka weszli do niej: **Józef Gabryś, Zbigniew Malinowski, Marian Szela, Michał Wójcik** oraz — dziś już nieżyjący — **Zygmunt Gabryś** i **Adam Malinowski**. Ich działalność od początku wspomagali pracownicy pogotowia ratunkowego, którym gaprowcy „rewanżują się" transportowaniem chorych z niedostępnych górskich przysiółków. Nawet telefoniczne zgłoszenia o wypadkach wpływają zarówno pod numer GOPR — 2680, jak i pogotowia ratunkowego — 2209. Obie te placówki zresztą sąsiadują ze sobą w budynku remizy OSP.

Szczawnicka sekcja GOPR nie ma etatowych ratowników — wszyscy pracują społecznie. Dwudziestu sześciu ludzi gotowych jest poświęcić swój prywatny czas, by nieść pomoc, by na wezwanie: wypadek w górach — burza w deszcz i śnieg, mróz i spiekotę. Nawet obsługa mini biura sekcji, cała ta żmudna, lecz niezbędna papierkowa robota wykonywana jest społecznie — przez **Danutę Gabryś**, pracownicę Urzędu Miasta.

Dyżury w gaprówce pełnione są — jak dotychczas — w sobotę i niedzielę podczas sezonu letniego i zimowego.

Zapisy w księdze: za każdym kryje się dramat ofiary, wysiłek ratowników, nadzieje i niepokoje, rozpacz i radość. Czerem — scena jak z tragifarsy, jak z kryminału, z melodramatu.

... Kuracjuszka powiadamia GOPR, że na szlaku na Wysokiej koi Szczawnicy znajduje się grupa dzieci w stanie silnego wyczerpania. Troje z nich przyprowadziła, reszta pozostała w przybyłej pomocy. Gdy ratownicy docierają do niefortunnych wycieczkowiczów — brakuje tam dziesięcioletniego Krystyna; odnaleziony powie, że pozostał w tyle za grupą i zabłądził. Najmłodszy z dzieciaków liczy... cztery lata! Tę „wspaniałą" wyprawę urządził swym podopiecznym wychowawcy z kolonii organizowanej przez warszawskie sądy.

... W odległym górskim przysiółku rodzi kobieta. Kto tam dotrze z pomocą? Tylko gaprowcy, zaprawieni do pokonywania trudnodostępnych ścieżek. Brną więc przez śnieg, a potem — pełnią rolę położnej. Kraj ma nowego obywatela.

... W innej górskiej osadzie, gdzie diabeł mówi dobranoc, alkoholik wpadł w szał. Kto sobie z nim poradzi — wątła żona, dzieci? Pijacka trzeba poskromić, zabrać do szpitala. Lekarzowi pomagają gaprowcy.

... Mężczyzna złamał nogę. Hen, pod grania. Opatrują, niosą w dół, do drogi, gdzie czeka sanitarka. Za parę godzin będą go nieść z powrotem w górę. Przecież sam nie zajdzie z gipsowym opatrunkiem.

... Rozbił się szybowiec. Pilot jest gdzieś w górach — ranny? Zyje? Trzeba go odnaleźć.

... Lekarz z pogotowia ratunkowego, z którym dotarli do osady Niwki, stwierdza, że chorego trzeba natychmiast przetransportować do szpitala. Helikopter nie przyleci — leje deszcz. Posiadany przez gaprowców sprzęt do transportu dla tego pacjenta się nie nadaje. Jak sobie poradzą? Drzwi? Wezmą go na wyjęte z zawiasów drzwi. Niosą w kilkunastu, co chwilę któryś wywraca się na stromizmie, jest piekielnie ślisko. Ale pozostali trzymają. Udało się.

... Sygnał z Grywałdu: rodzice jechali z trzyletnim dziecko wozem, konie się spłoszyły i dziecko wypadło. Nie można go odnaleźć. Może, zszokowane, odeszło gdzieś, a może leży ranne? Może zasnęło na zmęcznie? Jest już noc. Gaprowcy, wopiści, milicjanci idą wzdłuż potoków Lubań i Krośnica, nawołują, przetrząsają krzewy. Odnajdują małe ciałko w potoku.

... W niedostępnym miejscu, w sercu Pienin, leżą zwłoki kobiety. Obok — list samobójczy. Położenie ciała, inne szczegóły nie świadczą o samobójstwie — prawdę wydarzenia ma odtworzenie. Zadaniem gaprowców jest przetransportowanie ciała. Trudna akcja, w środku nocy.

— *Nie było to jedyne samobójstwo w naszych stronach* — mówi Zygmunt Białek junior. — *W górach nasiąga się stara depresyjne, a sceneria Trzech Koron czy Wąwozu Homole jakby wspiera te nastroje. Nieraz trzeszą rusznice Winchester, aby mobójstwo czy nieszczęśliwy wypadek. Jak, na przykład, zginął pod Sokolicą przewodnik spał Limanowej, którego niedawno odnaleziono po ośmiu latach bezowocnych poszukiwań?*

Do najczęstszych przypadków wymagających interwencji gaprowców należą zasłabnięcia spowodowane niewydolnością mięśnia sercowego, złamania i zwichnięcia rąk i nóg, urazy głowy odniesione przy upadku, a także — wypadki przy pracach w lesie, zwłaszcza przygnieceniu przez padające drzewa. Stosunkowo dużo notuje się wypadków śmiertelnych — jeden, dwa rocznie. Niejednokrotnie ich przyczyną są wyładowania atmosferyczne, zwłaszcza wysoko pod granią. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak niebezpieczne stają się podczas burzy wszelkie posiadane przez nich przedmioty metalowe. Nawet w dolinie, na „deptaku" nad potokiem Grajcarek, ofiarą pioruna stała się kobieta idąca pośród tłumu innych spacerowiczów z parasolką nad głową.

Najbardziej nużące dla gaprowców są akcje poszukiwawcze. Ileż to osób zapowiada, że idzie w góry, nie podaje dokładnie trasy, ilu mówi, że wyrusza na wycieczkę, a ładuje w knajpie nie przejmując się, że zaniepokojeni gaprowcy muszą wówczasowicze powiadomią GOPR, który poświęci wiele godzin na zbędne poszukiwania? Przecież zawsze można wolno zlekceważyć, bo może rzeczywiście stało się coś złego?

Gdy jednak gaprowcom uda się uratować ludzkie życie — jest to satysfakcja niezapomniana. Zygmunt Białek senior opowiada: — *Chyba z piętnaście lat temu uwięziono w Małe Pieniny, gdzie z 42-metrowej skały zwanej Babą, opodal Wąwozu Homole, spadła kobieta. Odwieziliśmy ją do szpitala w ciężkim stanie. I proszę sobie wyobrazić, że za pół roku przyszła do nas z bukietem kwiatów zdrowa, która dziewięć! Nawet nie lekarzom, ale ratownikom z różnymi przypadkami, trudno było uwierzyć, że to ta sama osoba!*

Bywają również sytuacje zabawne — wspomina syn doktora. — *W 1986 roku zaczęły do nas napływać zewsząd sygnały, że pod Przebybą, na Przebybie, są poparzeni, nawet ofiary śmiertelne. Szybko wyruszyła straż pożarna, powiadomiła gaprowców. Dotarliśmy na miejsce, tutaj kone były w drodze, ktoś pomyślał, by połączyć się telefonicznie z ratownikiem na Przebybie. Był bardzo zdziwiony, w ogóle nie wie, co się nie dzieje! Tylko na przekaźniku telewizyjnym wymieniono lampy na sodowe i łuna ich światła zaalarmowała strażaków.*

25 lat działania — około 800 akcji. Każda — to niesienie pomocy, to uratowanie zdrowia, życia ludzkiego. Ale działalność szczawnickich gaprowców nie ogranicza się do samych dyżurów i akcji. To również zabezpieczanie rajdów i imprez górskich, to patrolowanie szlaków, sadzenie drzew i dokarmianie zimą zwierzyny, to uczestnictwo w sprzątaniu gór, prelekcje dla wczasowiczów i kuracjuszy, propaganda ratownictwa górskiego i wyświetlanie filmów uczących, jak się zachować w górach, to starty w zawodach narciarskich, organizowanie różnych imprez dla rodzin ratowników — drobna rekompensata za nieobecność ojców i mężów, za niepokój o nich.

Zebyśmy jeszcze byli lepiej wyposażeni... — wzdycha kierownik szczawnickiej sekcji GOPR. Telefon działa jak chce i kiedy chce; jedynie radiotelefony „Radmor" i „Klimek" nie budzą zastrzeżeń. Skuter śnieżny oddali, był to już prawdziwy „trup", teraz czekają na nowy. Nieźle spisują się tobogany, wózek alpejski, akcja — taka łódka metalowa do transportowania rannych, ale starego „uaza" trudno byłoby nazwać samochodem, gdyby nie ofiarność „złotych rączek". **Piotra Gabrysia** i **Stefana Hamerskiego**. Udało się — między innymi dzięki dotacjom z Miejskiej Rady Narodowej i składkom członków współpracujących, zakupić sprzęt audiowizualny — odtwarzacz i video, prelekcje i szkolenia mogą więc być atrakcyjniejsze niż dotychczas. Ale telewizor pamięta chyba czasy Króla Ćwieczka. Ciągle niedostatecznie jest wyposażenie indywidualne ratowników, jakoś jednak daja sobie radę. Gorzej, że od piętnastu lat nie można dopiąć sprawy budowy porządnego lądowiska helikopterów. A przecież Szczawnica nie ma szpitala — jak zawieź chorego czy rannego do Nowego Targu, do Sącza, gdy śnieg zawieje lub powódź zerwie jedyną drogę kołową? Czas też naprzyszy doprowadzić do końca sprawy budowy stacji GOPR z prawdziwego zdarzenia. Zajmowane przez sekcję zimne i ciasne pomieszczenie w remizie nie nadaje się do tego celu. Starania o budowę (obok przyszłej dolnej stacji kolejki linowej na Palenicę, naprzeciw poczty) — trwają od przeszło trzech lat; dopiero teraz rysuje się szansa pomyślnego finału.

Jesienią ubiegłego roku podsumowano 25-letnią działalność szczawnickiej sekcji GOPR. Do organizacji społecznych, przedsiębiorstw, do osób prywatnych zwrócono się przy tej okazji z apelem o wsparcie gaprowców w ich służbie. Sekcja została odznaczona Złotą Odznaką Zbiorową „Za zasługi dla województwa nowosądeckiego". W Miejskim Ośrodku Kultury urządzono wystawę fotograficzną — amatorskie zdjęcia ukazywały trud gaprowców. Wpisy w księdze pamiątkowej mówiły o uznaniu zwiedzających dla ofiarności ratowników, „bezimiennych bohaterów gór", jak ich określił jeden z wpisujących się do księgi.

Fot. JANUSZ BARAN

Tetmajerowie (9)

Miłym, zawsze niecierpliwie przez Tetmajerów wyczekiwanym urozmaiceniem zwykłego, ludzmierskiego życia były odwiedziny wnuków i krewnych. Życzliwy świata i ludziom pan na Ludźmierzu jednako serdecznie podejmował najbliższych swoich i zonę, Julię Tetmajerową także nie czyniła niby zadnej różnicy – tyle tylko, że z własnymi siostrami, Wandą i Marią, nigdy nie mogła nagadać się do syta, bo już z Zofią było na odwrót. Ta, rzadki zresztą gość w Ludźmierzu, już w pierwszych godzinach swego pobytu budziła w siostrze irytację swą nadmierną egzaltacją.

Ledwie zdzierżyłam, żeby Zosi nie wygarnąć, niech zaprzestanie wreszcie pleniła głupstwa – notowała pani Adolfowa, dodając: – *ale mój Mąż tak serdecznie na nią patrzył, tak tkliwie, jak do dziecka, się do niej zwracał, że to mnie ani jeszcze machnęłam na te brednie ręką. Wiec po daumenu, czuję po swojemu, jest nadmiernie podatliwa i rozmazudzonowana wszystkim i wszystkimi. Jakie to męczące! Smutne, tyle lat spędziłyśmy razem pod jednym dachem, a teraz coraz bardziej się przejaśniadziała przy od siebie.*

Z rodzinną męką, zwłaszcza jego siostrami, Julia Tetmajerowa konwersowała wprawdzie jak na równą im damę przystało, nigdy też najmilszym gościom nie poskąpiła ani miłych słów, ani czasu – choć nie pałała do nich, zwłaszcza w ludźmierskich czasach, zwykłym uczuciem. Szczególnie drażniła panią Julię ukochana siostra męża, Klima (Klementyna Olcingerowa), wprost rodowita na Ludźmierzu, parę razy do roku i to zazwyczaj na dłużej zjeżdżająca do bratertwa. Tej przepiękna, jak niejeden wielbiciel, prawdziwie wielkiej damie Adolfowa Tetmajerowa miała za złe właśnie zauroczenie Ludźmierzem: – *Jak tu pięknie! Jak tu pięknie!* – rozpłyna się Klima w zachwycie *wpadając na wszystkich zachwytach. Tylko czym się tu aż tak zachwycać?!* – Nigdy bodaj nie pojęła, że była panią Tetmajerównie z Mikołajowic Ludźmierza przypomniał, dawno wprawdzie pogrzebane, gorące jednak w pewnym okresie marzenia o podstawie w ziemiańskiej sferze. Ciołek Olcinger, za którego w pierwszych latach czterdziestych wyszła za mąż, w rzeczywistym wymiarze nie ziemskiej posiadłości wniósł paranetle, prowadzące do dość bliskiego pokrewieństwa z rodem królem Polski, Stanisławem Augustem Poniatowskim, pieczętującym się też herbem Ciołek. Marzenia, że dojdą chociaż do jakiegoś Ludźmierza albo Lopuszna, zawiodły. Klementyna Ciołek Olcingerowa rychło owdowiała, całkowicie oddała się najpierw wychowaniu córki, a po jej przedwczesnej śmierci – osieroconego wnuka. I tak to rozpłynęły się jej mrzonki o własnym majątku ziemskim. Zachowała jednak styl bycia, maniery, przekonania właściwe sferze ziemian. Tkwił także w niej jakiś osad, coś w rodzaju leciutkiej tęsknoty czy też żalu, za niespełnionymi pragnieniami. Na właściwym miejscu czuła się – jak to nieustannie zaznaczała – tylko w Ludźmierzu, czym niepomernie radowała swego brata, a co jego żonę doprowadzało wprost do irytacji. Niemiłe też były Julii Tetmajerowej rytmotwórcze zapędy rodzeństwa. Oboje zabawiali się rymowanymi rozmowami lub układaniem okolicznościowych wierszyków, z którym niejeden poświęcony był „rządnej i pracowitej", „stale kimś lub czymś zatroskanej" pani na Ludźmierzu.

– *Głupstwa!* – wzruszała ramionami – *doprawdy głupstwa, dla mnie jednak dziwnie drażniące! Imaginuj sobie, siedzimy przy podwieczorku, chcę Zinieczkowi dolać śmietanki, polecam Włodziowi przysunięcie dzbanka, a Klima na to:*

Stoję tu na ci się
Pełne ludźmierskiej, wspaniałej śmietanki!

Mój Mąż natychmiast chwyta za rymy, ciągnie te częstochowskie – przyznajcież? – rymidła:

Wierny rycerz swojej pani,
Kornie sunie dzbanek dla niej...

i tak dalej i dalej. A całe te głupstwa kończyły się – można pęknąć ze śmiechu! – wprost obwodzaniem, bo wierny rycerz ów dzbanuszek sunął wprost do rączek swej ukochanej. Doprawdy, na poziomie i w guście naszej Zosi, ależ by się epatowała!

Można było wybaczyć Klementynie Olcingerowej urzeczenie Ludźmierzem, można było zapomnieć o okolicznościowych rymowankach. Jaką jednak znaleźć radę na wyjątkowo dotkliwie przeżywaną przez panią Julię zazdrość o uczucia Włodzia i jego niezyjącą matkę? Czy, którymi tak obficie spłamiła niektóre listy do siostr?

Płaczę – wyznawała – *bo i cóż mi pozostaje? Żyć w cieniu, albo umrzeć! Wtedy Zinieczek na pewno stanie przy mym grobie i będzie mi, jak Włodzio swojej matce, szeptał o nakrapianych jaszczekach odkrytych w jakimś gniazdku i krzyżu piórka znalezionym w lesie. Wiesz, on się nie modli przy tym grobie, on dzieli się z Mateczką swoimi tajemnicami. Tak ma to dziś powiedział, kiedy nalegałam na przykładną modlitwę... Obaj tam tacy dziwni jacyś, niby przeżegnają się i przyklękną, boć to cmentarz, ziemia poświęcona, ale bez smutku, bez zadumy... Zupełnie jakby sobie ot tak przyszli do bliskiej osoby w odwiedziny. Już nawet chyba nie zdziwiłabym się, gdyby mój Mąż, stojąc tamtym grobem, nagle półgłosem powiedział: – Leo, żmiu się zaczynają... czy coś w tym rodzaju. Mnie tu już nic nie zadziwi, nawet i te ich pocałunki przyżegnane dłonią w stronę grobu. Niepotrzebnie uległam Klimie i pierwszy raz tam popełniłam – nigdy już, przenigdy tego nie zrobię!*

W parę dni później Julia Tetmajerowa zapisała: *Z rozpaczy omal mi serce dzisiaj nie pękło.*

Przypadkowo wypatrzyła moment, kiedy Włodzimierz osadził rozpędzonego konia przed ciotką i przechylywszy się w jej stronę o coś ją pytał, czy też coś stwierdzał, skłaniając ku niej zarożowioną od pędu twarz.

– „Wypapana matka" – odpowiedziała mu podobno bez żadnego związku i sensu, i jak zauroczona wpatrywała się w odbicie tamtej od kół jak nie siedzącej, a na pewno bardzo miłej sobie buzi. – „Wykapana matka" – powtórzyła.

– *Mój! – swoim zwyczajem oświadczył Adolf Tetmajer.*

Potwierdziła i zaraz zapytała: – „Pamiętasz? Leo tak promieniała na twój widok, tak na ciebie spozierała, jak teraz na mnie patrzy Włodzio".

Czy pamiętał... – kto dziś tego dojdzie? Zdaniem pani Julii nie mógł, przynajmniej nie powinien zapomnieć – miły ciągle czarował, ale jakże dla niej bolesne.

Zazwyczaj bardzo realnie i nader konkretnie patrzyła na świat. Wprawdzie słuchając wspomnień o matce Włodzimierza nieraz popłakała się najszczerzej, to jednak najczęściej w takich chwilach natychmiast reflektowała się: *Właściwie sama nie wiem, czego chcę. Zapomnienie wydaje mi się zbrodnią wobec Leo, a wspomnianie jej nietaktem – wobec mnie... Nie mogę dość z tym ładu. Wiem tylko, że Włodzio naprawdę kocham, a że okazał nie jestem jego matką? Toć to nie ma najmniejszego znaczenia! I może właśnie dlatego tak doskwiera mi i tak mnie boli to przypominanie spraw oczywistych. A że czasem tragedię z tego robię, nic na to nie poradzę.*

Niekiedy drażniąca, a kiedy indziej wprost irytująca Adolfową Tetmajerową Klementyna Olcingerowa bywała też „wprost nieznośtapioną". Zdarzało się tak zawsze, kiedy rzeczywistość stawiała pani Julię w sytuacji całkiem dla niej niezwykłej. A taka między innymi zaistniała późna zimą 1872 r., kiedy to jej ukochana siostra Klima, od kilku miesięcy zaręczona z Władysławem Zeleńskim, powiadomiła o przedślubnej wizycie obojga w Ludźmierzu. Narzeczony Klementyny, tokrem, muzykiem i doktorem filozofii tylko, ale i przedstawicielem prastarego rodu rycerskiego, w nowszych czasach skolignowego z arystokracją, dla swoje wyjątkowo peszyła panią Adolfową. Powiadomiona o przedślubnej wizycie zaręczonych wpadła w popłoch. Pani Klementyna przybawiłee w prawdziwe wielkim świecie, wyraźnie skąpił odpowiedzi na jej pytania: gdzie ułożyć tak skolignowego gościa, co mu zaproszę, czym, w czym i ta dalej, a bez końca. Wprost z nieba spadła jej wówczas pomoc w osobie siostry męża. – *I czym to tak przejęta jesteś!* – zmirdygowała rozgorączkowaną panią domu. – *Zakochani, moja droga, nie wiedzą, co jedzą.*

Przyszły powinowaty okazał się człowiekiem wyjątkowo bezpośrednim i ujmującym. Zebranych w Ludźmierzu oczarował od pierwszego spojrzenia, w wielu budził pojąć, jak dotychczas mogli obywać się bez towarzystwa tak nadzwyczajnego kompana. Wnuk Julia Tetmajerowa, „w korze ducha" przyjęła do rodziny „jeszcze jednego lubującego się w układaniu rymowanek". Bardzo jej przypadł do serca, a i on był przez ciotkę łata niezmiennie oczarowany. Przy każdej okazji chętnie zaglądał do Ludźmierza. Choć, jak mówiła pani Adolfowa, *nie wymawiając macie, moi drodzy, taki, że przy pierwszym dzwonku myszę ze strachu gonić porwał słonia.* Mankamentem, nigdy zresztą nie ukryte, nie zaważył na wzajemnej adoracji, choć Władysław Zeleński słynął z idealnego słuchu i wprost doskonałego rozróżniania najmniejsza nieprawidłowość w brzmieniu tonu. Długie lata, nie tylko w najbliższej rodzinie, zabawiał swoją ułomnością, a przy tylko anegdotami, w jakie obrósł ów ideał nysy słuch kompozytora. Oto pierwordny Władysławowstwa Zeleńskich, Stanisław Gabryel, w swoim czasie wiedzie do ołtarza ukochaną. Z chóru rozlegają się pierwsze tony „Veni Creator" i brzmią „coś na!". Postawny, gładko ogolony, ubrany zebrany mi kompozytor przeczaco a energicznie potrząsa głową i głuszy fałsz donośnym pomrukiem brzmiącym mniej więcej tak: *Pam! Pam! Pam!*

Przerażona pani Wanda czym prędzej schwyciła podobno dłoń małżonka i jęła go odciągać z pobliża ołtarza. Nim jednak uczynił pierwszy krok do tyłu, przerażliwie donośnym szeptem, a głos miał potężny, gwałtownie zanegowała: – *Dziewczyno, dalibóg, przestań mnie wwodzić!*

(ciąg dalszy nastąpi)

KRYSTYNA JABŁOŃSKA

4 grudnia 1890

GABRIELA R. DANIELEWICZ (66)

Pamiętnik sadeczanki

7 grudnia

Antoś w domu zabawił cztery dni, a tego trzy spędził w Brywowie. Zapoznał się z dorobkiem p. Morawskiego i dokładnie obejrzał jego zbiory. Wiele z nich pokazano przed laty w Krakowie na jakiejś wielkiej wystawie. P. Szczęsny zwierzył mu synowi swoje plany peregrynacji wzdłuż i wszerz Podkarpacia, opowiadał o zwiedzanych kościołach, bibliotekach, archiwach, o poszukiwaniach w starych dworach, strażnicach i klasztorach. Potrafił szukać, skoro znalazł masę cennych dokumentów i pamiątek drzewnych. Podobno cały domek p. Morawskiego zajmują papiery, książki, rękopisy, pergaminy, a na etażerkach i w szklonych szafach pełno dziwów przyrody, naczyń glinianych, starych monet, herbów i przedmiotów wydobytych z ziemi. Syn ogłądał przywiezione królewskie na pergaminach, gęsto pokryte drobnym maczkiem listy sprzed lat, pozłóbe metryki, rękopisy, pieśni arianskich, fragmenty diariuszów. Najbardziej jednak pochłonęły go nie dokumenty historyczne, a tworzy ściski ludowej i dawnych epok, świadczące o wysokiej kulturze ludzi zyjących długo, długo przed nami. Przy pożegnaniu p. Szczęsny podarował Antosiowi kasetkę z drewna lipowego sprzed dwustu lat, z widocznym jeszcze rzeczym malunkiem przedstawiającym herb naszego rodu. Był to dowód uznania i sympatii dla naszego syna.

Podczas drugiej wizyty Antoś porąd u p. Morawskiego jezuitę z naszego klasztoru, ojca Jana Sygańskiego, który również zajmuje się historią ziemi sądeckiej, przede wszystkim zaś Nowym Sączem. Wracali razem bryczką i całą drogę rozmawiali o przyszłości naszej ziemi. Joachim zna osobiście ojca Sygańskiego, ze sklepu. Przychodzi do nas po herbatę, które następnie rozdaje dzieciom. Ojciec lubi widać pogawędzić z moim mężem, bo za każdym razem zatrzymuje się i pyta bratobrutliwie: – Co nowego słychać, panie Joachimie? – Tak bezpośrednio zwraca się do męża. Teraz pewnie będzie miał więcej tematów do rozmów z Joachimem. Jezuita ten przebywał już w sądeckim klasztorze kilka lat temu, potem wyjechał i znów powrócił. Jest, według Joachima, bardzo pogodny, naturalny i życzliwy ludziom. Nie ma w nim cechującej wielu duchownych surowości ani wyniosłości, które stwarzają mur między kapłanem a wiernymi. Pochodzi z chłopskiej rodziny spod Tarnowa i dzięki swym zdolnościom oraz mozolnemu wysiłkowi zaszedł tak wysoko.

Kiedy Antoś z Joachimem dzielili się wrażeniami z poznania niezwykłego jezuity, słuchaliśmy ich z zapartym tchem. Wszystkie dzieci zamieniły się w słuch, tylko Walka nie było w domu. Zaraz po obiedzie wyszedł gdzieś z pilkiem gazet. Zeby sobie ten chodok biedy na kark nie sprowadził!

Idąc do miasta, zauważyłam na rogu naszej ulicy i Lwowskiej furę z meblami. Wokoło kręciły się dzieci i od nich dowiedziałam się o wyprowadzce Żydów. Już kilka rodzin żydowskich opuściło w ostatnim czasie Nowy Sącz. Widocznie im niedobrze, skoro wyjeżdżają gdzie indziej w nadziei na lepsze warunki życia. Tych Żydów chyba dość dobrze. Po śmierci p. Sowińskiej zajęli jej mieszkanie i szybko oswoili się z sąsiadami. Mary Lejb miał kram, Ryfka z początku chodziła po domach prać, potem zajmowała się tylko domem i kupą rozwrzeszczanych bachorów. Zyli w niedostatku, jak wiele innych rodzin żydowskich, ale zgodnie i przykładnie. Chodzili przez całe lato nad Kamienicę i spędzali tam długie godziny.

Gdy wracałam do domu, fury już nie było, mieszkanie stało puste i bawły się w nim dzieci. Ciekawe, kto się sprowadzi? Mimo woli przypomniałam sobie nieboszczkę Sowińską i westchnęłam za jej duszę. Już dwanaście lat minęło od jej zgonu. Ciągle żałuje p. Sowińskiej, bo była dla nas bardzo życzliwa i przyjaciółka. Układała się dobrze wychowana, miała przy tym wielkomiejski polor, który w ludziach cenię, a radko spotykam.

Przy obiedzie mówiłam o wyprowadzce Żydów. Wydarzenie takie stanowi sensację w naszym spokojnym, monotonnym życiu i przez jakiś czas jest głównym tematem rozmów. Joachim i ojciec Joachima, Antoś i Kazia, i Dominika, którzy asystowali przy wynoszeniu żydowskich gratów słyszeli, że lokal już wynajął jakiś pan z Bochni. Podobno jutro przyjedzie zamieszkać. Po wyjściu Joachima ze sklepu szybko umyłam naczynia i poszłam do Janiakowa. Oczywiście wiedzieli o wyjeździe Żydów, ale zaskoczyli mnie wiadomościami o nowym lokatorze. Janiak poznał go, gdy odjadał mieszkanie. Rzeczywiście pochodzi z Bochni, którą opuścił po śmierci żony i przebywał u krewnych na Kaduku. Spodobał się Janiakowi, który twierdzi, że to ktoś z inteligencji. Uciszyłam się z tej informacji, bo chciałabym, aby na Pile mieszkali jak najwięcej osób z inteligencji. „Kto z kim przestaje, takim się staje". Dla moich dzieci to ważne, z kim spotykają się na co dzień. Już chciałam odłożyć pamiętnik, gdy spostrzegłam, że zamiast Zalubincze napisałam „Piekło". Coraz częściej tak mówimy, zwłaszcza o nieprawidłowo. Nazwa Piekło wzięła się od karczmy, w której stale wybuchają awantury i bijatyki, a wrzaski rozlegają się na całe Zalubincze. W mieście też już zaczynają potocznie nazywać Zalubincze Piekłem. Muszę o tym napisać Praksedzi, bo chociaż przebywa w Wiedniu, powinna wiedzieć, co się dzieje w miejscu jej urodzenia.

Jest ofiarą braku środków dla środowiska

W czerwcu w „Gazecie Krakowskiej" ukazała się rozmowa **Mirosława Lebiedziejewskiego** broniącą SZEW przed zarzutami o niszczeniu otoczenia. W lipcu opublikowano pismo dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii Urzędu Wojewódzkiego, **Jana Klimczaka**, który twierdził, że dane przytoczone przez dyrektora SZEW na poparcie tezy, że SZEW nie są największym trucicielem w Polsce, są fałszywe. Oto sprawa:

Wielkości zanieczyszczeń podane w notatce stoją w jaskrawej sprzeczności z danymi będącymi w posiadaniu Wydziału (...) I tak wielkość emisji wynosi: dwutlenku siarki 128 ton/ rok, w notatce przsowej podano liczbę 84 t/ rok, tlenku węgla 1120 t/ rok, podano 656 t/ rok, benzo-a-pirenu (substancji szczególnie szkodliwej) — 404 kg/ rok (...) Szczególnym problemem jest emisja węglowodorów, co zostało zupełnie pominięte i zignorowane w notatce.

Z badań Instytutu Kształtowania Środowiska w Katowicach wynika, że SZEW nie mają sobie równych pod procentowym udziale wielkości stężeń zanieczyszczeń na terenie Nowego Sącza, bowiem ich udział wynosi: węglowodory — 54,9 proc., benzo-a-piren — 17,1 proc., pył — 36,9 proc., tlenki azotu — 15,9 proc., tlenek węgla — 11,6 proc.

Jak z podanych wyżej wielkości wynika, trudno uznać SZEW za „kopciuszka" w stosunku do innych przemysłowych zakładów na terenie Sącza. Z przytoczonych faktów wynika więc, że „legendę" zawierała poprzednia notatka a prawda wygląda inaczej i jest bardziej brutalna.

Tyle dyrektor Jan Klimczak. Oto pismo z SZEW do redakcji **Andrzeja Rączki**:

(...) Stwierdzamy, że treść wypowiedzi dyrektora WOSGWiG jest nierzetelna, w części nieprawdziwa, polega na manipulacji liczbami i wprowadzia w błąd opinię publiczną, przynosząc krzywdę i szkodę zakładowi SZEW.

Zgłaszamy zastrzeżenia i protest do następujących fragmentów wypowiedzi dyrektora WOSGWiG:

1. Jest nieprawdą i mija się z prawdą następujący fragment wypowiedzi: „Wydział stwierdza, że dane przytoczone przez dyrektora SZEW, ... są mylne i bezmutne". Zastosowano tutaj specyficzną manipulację liczbami. Polega to na porównywaniu 2 zestawów liczb, których porównywać nie można, przynajmniej bez rzetelnego komentarza:

— wielkości przytoczone przez dyr. Lebiedziejewskiego pochodzą z pracy badawczej Instytutu Kształtowania Środowiska w Katowicach pt. „Określenie zakieszczenia powietrza metodami geograficznego dla rejonu Nowego Sącza z określeniem udziału poszczególnych źródeł emisji" z 1986 r. opracowanej wg ustalonej metodyki (wzgodnionej z WOSGWiG w Nowym Sączu). Praca ta była wykonana na zlecenie WOSGWiG oraz przez WOSGWiG odebrana. Materiał powyższy jest do chwili obecnej jedynym kompleksowym opracowaniem uwzględniającym wszystkie źródła emisji w rejonie Nowego Sącza. Zlanie przywołane przez dyrektora Lebiedziejewskiego zawarte są również w „Sprawozdaniu z realizacji harmonogramu ochrony środowiska" rozpatrywanym przez sesję MRN w Nowym Sączu w dniu 31 V 1988 roku.

— wielkości podane przez dyr. Klimczaka pochodzą ze sprawozdania GUS, ale za okres 1987 r. Wydziałowi OSGWiG znany jest fakt znacznych różnic wartości liczbowych między wielkościami ujętymi w pracy IOS w Katowicach i wielkościami sprawozdań GUS za 1987 r. Okazuje się ma opracowania przedstawiającego aktualną sytuację w tym zakresie, stwierdzenie że „SZEW nie ma sobie równych w procentowym udziale wielkość stężeń zanieczyszczeń na terenie Nowego Sącza". Przy określaniu udziału poszczególnych źródeł emisji na stan zanieczyszczenia atmosfery należy porównywać udział emisji danego źródła z całkowitą emisją na badanym obszarze. Jak wynika z danych liczbowych zawartych w pracach wyszczególnionych w „Gazecie Krakowskiej" oraz w sprawozdaniu na sesję MRN, procentowy udział SZEW w ogólnej emisji zanieczyszczeń w rejonie Nowego Sącza wynosi: pył zawieszony — 23,1 proc., SO_2 — 2,8 proc., (pominięto w informacji) NO_2 — 0,2 proc., NO — 14,6 proc., CO — 7,7 proc., benzoapiren 18,4 proc. oraz (po rozdzieleniu węglowodoru) węglowodory aromatyczne — 24,6 proc. i alifatyczne (metan) — 75,7 proc. Porównanie tych procentów z procentami przedstawionymi przez SZEW wymagałoby wcześniejszego zakwestionowania sprawozdania na sesję MRN z 31 maja br.

Elementarna rzetelność techniczna wymagała, by przy porównaniu udziału węglowodorów za 1984 rok — (54,9 proc) stwierdzić, że w ramach tych związków jest tylko około 10 proc. węglowodorów aromatycznych, natomiast 90 proc. stanowią węglowodory alifatyczne — metan (akiuanie emisja metanu ulegie szczególnemu zmniejszeniu, co wynika z danych w sprawozdaniu GUS za 1987 r.) Na podstawie wyżej wymienionych danych nie da się sprzeczyć, że SZEW jest „kopciuszkiem" w dwutlenku siarki, ma sobie równych w pyle zawieszonym, tlenkach azotu i tlenku węgla, jest „przodownikiem" w węglowodorach aromatycznych i benzoapirenie, nie ma nic wspólnego z innymi truciznami, jak np. związki ołowiu, stanowiącymi powyższy problem ekologiczny.

Przedstawiając powyższe zastrzeżenia zapytujemy dlaczego WOSGWiG tak zależy na wyolbrzymianiu i krzywdzącym eksponowaniu SZEW, przy równoczesnym, dalszym bagatelizowaniu innych powiązań źródeł emisji? Nie od rzeczy też jest kolejne pytanie: z czego wynika potrzeba tak ostrego ataku na działalność pokazującą SZEW na tle innych?

SZEW w ostatnich latach wykazał się zdecydowanym zmniejszeniem zanieczyszczeń, o czym świadczą przykładowo następujące liczby: pyły nieorganiczne w 1980 roku 985 ton, natomiast w ubiegłym roku — 270 ton, węglowodory aromatyczne w 1980 r. 758 ton, przed rokiem — 204 tony, dwutlenek siarki w 1980 r. 225 ton, a w 1987 r. 128 ton.

SZEW posiada również program modernizacji zakładu na lata 1988,— 1992. Stwierdzamy, że w wyniku modernizacji nie wystąpią przekroczenia dopuszczalnych stężeń zanieczyszczeń poza granicami zakładu wywołane emisją z SZEW.

Jeżeli nie jest podejmowana decyzja o likwidacji SZEW (bo nie ma podstaw), przyjmując, że rozsądnym rozwiązaniem jest modernizacja zakładu, to konieczne jest przyjęcie programu rzetelnej opieki przez kompetentne władze terenowe. Zachodzi w tym miejscu uzasadnione pytanie: w jakim stopniu inne zakłady w rejonie Nowego Sącza mogą wykazać się podobnym działaniem w zakresie zmniejszenia negatywnego wpływu na środowisko?

Jako kierownictwo przedsiębiorstwa, przedstawiciele załogi SZEW i mieszkańcy Nowego Sącza zasmuceni głęboko zaniepokojeni metodami działania i stwarzania atmosfery przez WOSGWiG (...) Istnieje sytuacja, gdy w rejonie Nowego Sącza wymaga tworzenia wspólnego frontu działania kompetentnych władz i pospołecznych działaczy na rzecz ochrony środowiska. W związku z tym proponujemy odbycie narady — seminarium zainteresowanych kierownictw przedsiębiorstw w celu przedstawienia faktycznego stanu oraz ustalenia niezbędnych kierunków przyszłych działań. Współorganizatorem takiej narady — seminarium może być SZEW Nowy Sącz.

Fragmenty uchwały Egzekutywy KZPR miasta Zakładowego KZPR w SZEW:

(...) W celu rozeznania faktycznego wpływu SZEW na środowisko naturalne Nowego Sącza i jego okolic przedsiębiorstwo wystąpiło z inicjatywą przeprowadzenia kompleksowych badań tego środowiska przez kompetentne placówki badawcze z uwzględnieniem wszystkich źródeł emisji zanieczyszczeń, a nie tylko SZEW. Uzgodniono z Urzędem Wojewódzkim, że SZEW będzie finansować te badania, natomiast Wydział Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii UW dokonywać będzie odbioru prac badawczych (dotychczasowe nakłady na ten cel wynoszą w SZEW ponad 40 mln zł).

(...) W 1987 roku wynikiem tej opcji gruntownej modernizacji przedsiębiorstwa, polegającej najogólniej biorąc na zastąpieniu nieakceptowanej przez społeczeństwo obecnie technologii technologią najnowocześniejszą. Modernizacja ta pozwoli na zdecydowaną poprawę ochrony środowiska, dalszą znaczną poprawę warunków pracy załogi, poprawę jakości i nowoczesności produkcji, znaczne zwiększenie efektywności i poprawę wyniku finansowego przedsiębiorstwa.

Potwierdzeniem realności koncepcji tej jest udzielenie zezwolenia przez Ministerstwo Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego na Stery, położonej w Alpach w Austrii. Zakład ten ma znaczne osiągnięcia w ochronie otoczenia. Mogli się o tym przekonać delegowani tam pracownicy SZEW, a w lipcu zakład ten zwiedził m.in. wicewojewoda Marek Obrzański i dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska UW, Jan Klimczak.

Dla zapewnienia przedsiębiorstwu właściwej perspektywy rozwojowej zakładowa organizacja partyjna w SZEW podjęła szereg kierunkowych działań, a w szczególności: Egzekutywa KZ zorganizowała dyrektora SZEW do informowania załogi oraz społeczeństwa nowosądeckiego o wykonywanie przedsiębiorstwa na środowisko naturalne Nowego Sącza; Komitet Zakładowy PZPR wyraził pełną aprobatę dla przedsięwzięć związanych z modernizacją SZEW, nakładając na dyrektora Mirosława Lebiedziejewskiego zadanie partyjne zobowiązujące go do sfinalizowania realizacji tej inwestycji.

(...)Zakładowa organizacja partyjna i jej kierownictwo mają nadzieję, że zwyczy zdrowy rozsądek i zrozumienie wspólnego interesu oraz liczą na to, że władze Nowego Sącza i województwa nowosądeckiego zechcą wspierać inicjatywy SZEW i podejmą odpowiednie decyzje umożliwiające realizację podjętych zamierzeń.

Poprzedzam sprzeczne o wypowiedź dyrektora **Mirosława Lebiedziejewskiego:** *Nasze stanowisko przedstawiliśmy w piśmie do redakcji. Cała sprawa zaczęła się wzięło się stąd, że my operujemy danymi o emisji, które są bardziej mierzalne i pozwalają stosować wszystkie przedmiot analizy, natomiast Wydział Ochrony Środowiska dane o stężeniu zanieczyszczeń tylko w jednym punkcie miasta. Jest to typowa manipulacja liczbami. Dane o stężeniu można wybierać. Żeby mówić w sposób wiarygodny o kształtowaniu się stężeń trzeba będziemy mieć wszystkie punkty pomiarowe w wielu punktach Kotliny Sądeckiej. Skoro ich nie ma — najbardziej miarodajna jest regularna emisja. Poza tym można jednoznacznie określić udział jednego zakładu w ilości emitowanych zanieczyszczeń.*

Przedsiębiorstwie od kilkunastu lat istnieje zakładowe laboratorium ochrony środowiska, w ostatnich latach wydoskonaliliśmy metody badań z innymi jednostkami badawczymi w kraju, ponadto nasz emisję kontroluje — niezależna od SZEW — Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Kontroli Środowiska. Sądzę, że nie byłoby całego zamieszania, gdyby wyniki badań systematycznie przedstawiano publicznie.

Blaski i cienie racjonalizatorstwa

Wynalazczość pracownicza w SZEW datuje się od 1963 roku, wówczas zgłoszono 11 projektów (wszystkie przyjęto do wykorzystania, choć tylko jeden zastosowano w produkcji). Rok później pracownicy zgłosili już 30 wniosków racjonalizatorskich, z których połowę zastosowano w produkcji — 55. W 1965 zgłoszono już 23 wnioski racjonalizatorskie. Gwałtowne załamanie się ruchu wynalazczego wystąpiło wówczas w całym kraju.

Odbudowa ruchu racjonalizatorskiego zaczęła się dopiero w 1966 roku. W SZEW zgłoszono wówczas 90 projektów, przyjęto do wykorzystania 60, a zastosowano w produkcji 55, osiągając efekty ekonomiczne w wysokości 73 971 tys. zł. Również w ubiegłym roku uzyskałem dobre wyniki, gdyż zgłoszono 76 wniosków usprawniających, a zastosowano 60 z nich w produkcji, co dało prawie 128 mln zł zysku.

Prawidłowy rozwój wynalazczości pracowniczej wymaga ciągłego pobudzania inicjatywy twórczej ludzi. Należy stwarzać odpowiedni klimat, zachęty moralne i materialne dla wynalazców i racjonalizatorów. Mordne — odznaczenia i wyróżnienia np. w naszej fabryce 60 pracowników posiada odznakę „Racjonalizator Produkcji", 15 osób — „Zasłużony Racjonalizator Produkcji", a 4— „Zasłużony dla Wynalazczości i Racjonalizacji". Osiągnięcia w ruchu racjonalizatorym są uwzględniane także przy awansowaniu oraz nabieganiu się o specjalizacje zawodowe.

Wskazówki do stosowania zachęt moralnych i materialnych powinni specjalne nagrody pieniężne. Organizowane są co roku konkursy wewnątrzzakładowe, jak np. „Nasza Racjonalizacja Zakładu", „Oszczędność paliw, energii i surowców", „Poprawa warunków pracy oraz ochrona środowiska naturalnego człowieka". Co roku odbywa się Turniej Młodych Mistrzów Technikki, a wyróżnione w nim przybyły biorą udział w eliminacjach wojewódzkich, a nawet krajowych. Są też tzw. giełdy projektów wynalazczych, mające pobudzić aktywność racjonalizatorską młodzieży do lat 30, kobiet, robotników. Nagrody pieniężne wynoszą tam na giełdach za każdy zakupiony projekt.

Do chwili obecnej w Urzędzie Patentowym PRL zgłaszający z SZEW 65 wynalazków i 3 wzory użytkowe. Wynalazek „Sposób wytwarzania wyrobów z węgla lub grafitu w podwyższonej temperaturze z początku utleniania", którego twórcami są **Mirosław Lebiedziejewski, Czesław Dunajewski i Maria Szudek**, opatentowano w Austrii, CSRS, Francji, Norwegii, NRD, Rumunii, RFN, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Węgierskiej Republice Ludowej, we Włoszech i ZSRR.

Dużym osiągnięciem technicznym było wprowadzenie pięć lat temu w SZEW nowej technologii wypalania wyrobów elektrodowych systemem komorowo-kokilowym na istniejących piecach krępowych. Urządzenia wówczas 4 patenty, z których do najważniejszych należą „Sposób środniotemperaturowej obróbki termicznej przybyrobów elektrodowych" (autorzy: **Mirosław Lebiedziejewski, Jan Kolowca, Józef Jungiewicz i Władysław Kulig**) oraz „Wielokomorowy piec krępowy do wypalania wyrobów elektrodowych" (twórcy: **Mirosław Lebiedziejewski, Marian Potoczek, Józef Jungiewicz, Jan Kolowca, Kazimierz Żabłocki i Jan Witowski**).

KAZIMIERZ ZABŁOCKI —
kierownik działu wynalazczości i ochrony patentowej

Kolumnę „Elektrografit", Sądeckich Zakładów Elektro-Węglowych, redaguje DANUTA BINEK

Głos Załogi

Nasi radni

Michalina Rachel z wypożyczalni narzędzi przy warsztatach szkolnych przestała być gorlicką radną, zaś **Stanisław Fałat**, kierownik oddziału konstrukcji w wydziale obudów dopiero zaczyna swoją działalność w radzie narodowej. Oto co mówią o sobie i bliskich swemu sercu sprawach Gorlic.

Michalina Rachel: — *Cztery ostatnie lata byłam gorlicką radną. Startowałam także w tych wyborach, ale odpadłam we „wstępnych przedbiegach". W skład gorlickiej MRN weszło wielu ludzi młodych, którzy po raz pierwszy wezmą na siebie te obowiązki. Ja pokłułam już społeczniksowskiego bakcyla i nawet porażka w wyborach nie zniechęci mnie do pracy społecznej. Jak oceniam swoją pracę w Radzie? Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Z pewnością wyobrażałam sobie, że uda mi się o wiele więcej zdziałać, że wniosę znaczny wkład w prace MRN. Rzeczywistość jednak szybko przyciąła skrzydła marzeniom. Z pustego i Salomon nie naleje; budżet miasta nie jest w stanie pokryć wszystkich potrzeb. Zdarzało się, że na podjęcie ważnej dla miasta inwestycji nie udało się zdobyć pieniędzy, a gdy nawet były, to z kolei brakowało wykonawcy lub materiałów.*

Zgłosiłam w czasie ostatniej kadencji tylko dwie interpelacje. Pierwsza dotyczyła zenującego braku szaletów w Gorlicach, a drugą złej jakości pieczywa. Obydwie pozostały bez odzewu.

Uważam, że najbardziej doskwiera gorliczanom brak wody. On też ogranicza rozwój budownictwa mieszkaniowego. Trzeba jednak przyznać, że niedawno ruszyła sprawa zapory w Klimkówce, wyznaczono nowe tereny budowlane oraz podjęto działania zmierzające do poprawy bazy oświatowej.

Czteroletni okres pracy w Radzie nie był zmarnowany, choć nie zawsze czułam wsparcie moich wyborców, tak bardzo potrzebne każdemu radnemu. Niestety, wiele osób sądzi, że wystarczy pójść do wyborów, a potem niech się inni martwią. Każdy mówi o obowiązkach radnego, potrzebie jego częstych kontaktów ze społeczeństwem. Zapominamy tylko o jednym, że i wyborcy powinni mieć swoje obowiązki, polegające przede wszystkim na wspieraniu radnych w podejmowanych przez nich słusznych działaniach.

Stanisław Fałat: — *Pochodzę z Krosna, ale po skończeniu studiów od razu podjąłem pracę w Fabryce. W ciągu trzynastu lat zmieniałem w „Glinika" kilkakrotnie stanowiska: byłem np. dyspozytorem, mistrzem w odlewni, zastępcą głównego mechanika, kierownikiem działu transportu. Znam więc Fabrykę jak własną kieszeń. Odkąd zamieszkałem na osiedlu „Młodych", staram się uczestniczyć w jego życiu i problemach. Działam podadto w komitecie rodzicielskim przy szkole nr 4 oraz w zarządzie Związku Zawodowego Pracowników FMWiG „Glinik". Staram się w miarę możliwości wywiązywać ze wszystkich przyjętych na siebie zadań.*

Uważam, że przeszedłem w wyborach zupełnie przypadkowo, bo moi konkurenci to aktywniści społecznicy. Myślę, że uda mi się nie zawieść pokładanych nadziei. Cieszę się, że razem ze mną będą w Radzie koledzy z Fabryki np. zastępca kierownika wydziału obudów, **Eugeniusz Garba.**

Moim „konikiem" — jako zapalonego grzybiarza i wędkarza — są sprawy ochrony środowiska. Potrzeba nam konkretnych programów i gwarancji, że będą one realizowane, gdyż sytuacja środowiska naturalnego jest alarmująca.

Bolączką Gorlic jest przede wszystkim brak wody (nie mamy jej w naszym osiedlu prawie w każdą sobotę!), mieszkań, odpowiednich dróg. Czy przyszli radni rozwiążą te problemy? Nie sądzę, czterylata to stanowczo za mało, żeby „odkręcić" od lat zaniedbane problemy. Cała nadzieja w poparciu społeczeństwa. Niestety, ludzie popadli w marazm, ich zaangażowanie w sprawy miasta, osiedla — z różnych przyczyn — jest znikome. Zdarza się, że do głosu dochodzą partykularne, prywatne interesy, które utrudniają załatwienie pewnych spraw. Taka sytuacja panuje wokół niezbędnej dla Gorlic obwodnicy czy stacji benzynowej. Dopóki ludzie będą patrzeć jedynie kategoriami prywatnymi, nie uda się nam wiele zdziałać.

Galwanizernia

Zaczęła wyła bezpieczna

Nagminne zastawianie dróg dojazdowych ● dewastacja szafek hydrantowych ● kradzieże węży, gaśnic i wszelkiego sprzętu (w ubiegłym roku na 120 punktów, jedynie w 20 utrzymały się węże do hydrantów!) ● samozapalny w warnach hartowniczych spowodowane nieprzestrzeganiem technologii procesu hartowania ● nieoszczędne odbieży ochronnej, zwłaszcza kasków i rękawic ● bałagan na stanowiskach pracy — to tylko niektóre z „grzechów" popełnianych przez pracowników Fabryki. Negatywnie wpływają one na stan bezpieczeństwa pracy w zakładzie. Brawura niektórych niezdyscyplinowanych pracowników zwiększa niebezpieczeństwo wypadków, których — niestety nie ulaje się całkowicie wyeliminować. Ostatnio członkowie Zarządu Związku wraz ze społecznymi inspektorami pracy radzili nad stanem BHP w przedsiębiorstwie. O komentarz poprosiłam Zakładowego Społecznego Inspektora Pracy, **Józefa Niemca.**

Zobowiązaliśmy wszystkich odpowiedzialnych za stan bezpieczeństwa i higieny pracy do przedłożenia wszystkim zainteresowanym pełną realizację planu poprawy warunków pracy na bieżący rok. Głównym nacisk kładziemy na usprawnienie wentylacji hal i stanowisk pracy ze szczególnym uwzględnieniem wchłyniętych wyziewów z dachowych np. w kuźni, odlewni i wydziale rotacyjnym; poprawę oświetlenia hal i stanowisk pracy; przyspieszenie remontów pomieszczeń socjalnych; skuteczne egzekwowanie od wykonawców prawidłowego wykonania pokryć dachowych; odpowiednio wczesne rozpoczynanie prac związanych z zabezpieczeniem hal przed zimą; systematyczne i rzetelne przeprowadzanie pomiarów natężenia hałasu i zapylenia oraz pełną realizację związanych z tym działań ochronnych. W uchwale związkowej apelujemy także o wprowadzenie mechanizacji przy pracach szczególnie uciążliwych i niebezpiecznych, m.in. transporcie i rozdziałku blach (proponujemy zastosować chwytaki elektromagnetyczne) i przy pracach rozładunkowo-przeładunkowych. W tym ostatnim wypadku chodzi o stosowanie właściwych zawiesi i uchwytów. W uchwale związkowej domagamy się także przyspieszenia budowy centralnego składowiska wióra i opracowania nowego regulaminu wynagrodzeń za wnioski racjonalizatorskie z zakresu BHP.

Poddajemy pod rozwagę dyrekcji przedsiębiorstwa możliwość utworzenia oddziału pracy chronionej, którego pracownicy mogliby podjąć produkcję baterii zaworowych (sprowadzanych obecnie z Czechosłowacji i Poznania). Postulujemy przyspieszenie udrożnienia wentylacji automatyzowanych malarni wydziałowych (R-6, R-7), rozpatrzenie możliwości poprawy warunków pracy w wydziale odlewni, warsztacie elektryczym i wydziale stojaków. Domagamy się ponadto oddania do użytku działu BHP nowej sali szkoleniowej, egzekwowania od kierowników wydziałów szkoleń okresowych podległych im pracowników, szerszego propagowania zwiększonego zmatarnytego oraz uzupełnienia obsady lekarskiej w przychodni przyzakładowej.

Po pierwszym półroczu

Znane są już wyniki pierwszego półrocza. O komentarz poprosiłam **Zofię Zastępową** z działu analiz i prognoz ekonomicznych.

Sytuacja placowa Fabryki w zakresie wykonania zadań płacowych jest bardzo dobra, wyniki finansowe są wyższe niż zakładaliśmy na początku roku. W minionym półroczu sprzedaliśmy nasze wyroby na sumę 22,6 mld zł, przekroczyliśmy w ten sposób plan o prawie 15 procent, a w porównaniu z ubiegłym rokiem wartość sprzedaży wzrosła o 26,6 procenta. Za granicę sprzedaliśmy w ciągu pół roku towary wartości 3,9 mld zł przekraczając plan o 57 procent.

Dzięki właściwej działalności produkcyjno-eksploatacyjnej wygospodarowaliśmy w przedsiębiorstwie 3,5 mld zł zysku, tzn. o 94,5 procent więcej niż w pierwszym półroczu ubiegłego roku. Trzeba także podkreślić, że tak dobre wyniki uzyskaliśmy przy spadku zatrudnienia o 161 osób.

Niestety, w następstwie obostrzeń przejawiających się ograniczeniem ulg i preferencji dla przedsiębiorstw, w Fabryce pozostało łącznie 1,4 mld zł zysku, resztę odprowadziliśmy do budżetu państwa. Uważam, że tego rodzaju zmiany gospodarowania rynku poprzez ograniczenie środków przedsiębiorstwa nie są poprawne. W bieżącym roku ceny surowców wzrosły prawie o 40 procent, zaś ulgi z tytułu eksportu zdecydowanie zmniejszono, mamy także kłopoty z uzyskaniem kredytu bankowego. To wszystko stwarza niekorzystne napięcia w sferze płatniczej przedsiębiorstwa, ogranicza jego środki na działalność eksploatacyjną i inwestycyjną.

Polityka fiskalna powinna ulec szybkiej zmianie, gdyż w obecnej formie prowadzi wyłącznie do osłabienia kondycji finansowej przedsiębiorstw i automatycznie rzutuje na wielkość i jakość produkcji, a zwłaszcza eksportu. Wbrew poziomom nadmierne podatki (w tym roku „Glinik" zapłaci 2,7 mld zł) nie hamują inflacji, lecz ją zwiększają, bo wszystkie opłaty z tytułu opodatkowania wliczane są (z wyjątkiem podatku dochodowego) w koszta przedsiębiorstwa i ceny wyrobów, a więc w ostatecznym rachunku obciążają klientów. Stosowanie tego rodzaju mechanizmów podatkowych nie wróży dobrze na przyszłość.

Skromniutko

Już w przedsionku naszego biurowca rzuca się w oczy spora tablica ogłoszeń, ale większość komunikatów trąci myszką i nie może zainteresować załogi.

Pierwsze piętro. W pobliżu kiosku „Ruchu", w otoczeniu zieleni, wdzięcznie prezentują się gabloty LOK „Glirik" i kilku kół NOT działających w Fabryce. Niestety, w pierwszej są jedynie dwa plakaty zawierające zdjęcia i ogólnikowe informacje o fregacie „Dar Pomorza" oraz zachodnioniemieckim brygu „Gorch Frock", zaś w drugiej kilka z XXI edycji konkursu propagującego oszczędność paliwa i energii oraz memoriał w sprawie sytuacji energetycznej Polski.

Najwięcej aktualnych komunikatów znalazłam na tablicy należącej do związkowców. W gablocie Rady Pracowniczej wywieszono odbiwały z maja bieżącego roku. ZSMP-owcy powiesili zdjęcia laureatów zakładowego konkursu na najlepszego mistrza, nauczyciela i wychowawcy młodzieży, a w gablocie administracji krolują wycinki — prawdopodobnie z czasopisma „Kraj Rad" — z których w oczy rzucił mi się krótki artykuł zatytułowany „Misie i komputery".

Nie tak dawno przewodniczący Zarządu Zakładowego ZSMP, **Aleksander Szpyrka**, skarżył mi się, że w „Glinku" niedostatecznie wykorzystuje się propagandę wizualną. Sądząc z tego, co zobaczyłam, sytuacja nie uległa większej poprawie.

Podziękowanie

Gorlickie Centrum Kultury składa podziękowanie Komendantowi i junkom Oddziału Obrony Cywilnej 24-3 w Gorlicach za okazaną pomoc w przygotowaniu plenerowych imprez kulturalnych zorganizowanych przez GCK (festyny 1 maja, 22 lipca, Dni Gorlic, koncerty w Hali Sportowej).

Dziękujemy również za dużą pomoc przy porządkowaniu pomieszczeń kinowych.

Kolumnę „Głos Glinika" opracowała **DANUTA BINEK**

Karaluch umowny

Najgorszy był podobno „Głodny Józio". Apetyt miał nie na befsztyk, ale na pieniądze, większy jeszcze niż inni.

— *Kiedy wyruszał na miasto, restauratorzy Manhattanu uprzedzali się telefonicznie o kataklizmie. Kto nie miał gotówki potrzebnej gotówki, co najmniej tysiąca dolarów, natychmiast biegł do banku* — mówi inspektor FBI, James Fox. Mr Fox chodzi dziś w glorii zwycięzcy, a prasa opisuje powodzenie kierowanej przez niego akcji. Ale on sam nie wierzy, by skuces policji mógł być trwały.

Polegał na wykryciu *największego przestępstwa służb sanitarnych w historii Nowego Jorku* i aresztowaniu 28 kontrolerów, którzy od lat szantażowali restauratorów tego miasta. Ich obowiązkiem było sprawdzanie czystości w 15 tysiącach tutejszych restauracji. Przepisy nakazują poddanie każdej z nich takiej kontroli przynajmniej raz w roku, stwierdzenie, czy właściciel nie narusza przepisów sanitarnych, czy w kuchni nie ma karaluchów ani myszi odchodów, czy woda do mycia naczyń jest dostatecznie gorąca, czy układacje spełniają wymogi higieny. 28 lapowników interesowało się tylko wysokością sum, jakie udało im się wyciągnąć od restauratorów.

Większość z nich zadowalała się jednolitą comiesięczną stawką — od 50 do 1500 dol. — zależnie od zależności od rangi zakładu. Byli jednak rekordziści, „Głodny Józio" wśród nich, który wyznaczali sobie własne normy dzienne, sięgające trzech tysięcy dolarów za „dyżur". Jeden z aresztowanych przynosił w pudełku po papierosach karaluchy i wypuszczał je na stół podczas rozmowy z restauratorem. Liczba karaluchów oznaczała „cenę umowną", wysokość żądanego haraczu — pto stu dolarów za karaluha.

Ujawniony w kwietniu br. system przestępstwa działał tak sprawnie, że — jak twierdzi inspektor Fox — nie sposób ustalić, które nowojorskie restauracje spełniają wymagania przepisów sanitarnych, a które nie, bo *wszystkie dane na ten temat były od wielu lat fałszowane*. Tylko nieliczni restauratorzy okazali gotowość do współpracy z policją. Jednych odstręczała od niej obawa, że następcy zatrzymanych korlutrolerów będą się mścić na denuncjatorach służbową nadgorliwością, która daje im wszędzie wykrywać uchybienia. Inni uważali, że wydatki na łapowników są w ogólnym rozrachunku opłacalne, bo pozwalają na lekceważenie przepisów, których przestrzegania strzegliby rzetelni kontrolerzy. Taka postawa cechowała przede wszystkim tych restauratorów, którzy pod wpływem „przyjacielskich rad" inspektorów przyjmowali wskazywanych przez nich ludzi na wysoko płatne etaty stałych konsultantów do spraw czystości.

Nowojorczycy mają obyczaj jadania na mieście i nieliczni z nich zwłaszcza zamożniejsi, nie używają swoich kuchni do niczego innego poza przyrządzaniem porannej kawy. Restauracje prosperują więc dobrze, ale też konkurują ze sobą zażarcie. Kontrolerom sanitarnym wykrywającym naruszenie przepisów przysługuje prawo do umieszczenia ostrzeżenia wiszącego przez tydzień na drzwiach zakładu i wymienienia restauracji na liście brudasów publikowanej w „New York Timesie". Obie te kary mogą dla właściciela oznaczać groźbę bankructwa. Było więc czego się bać, było za co płacić.

Burmistrz Nowego Jorku, Ed Koch, którego administracją wstrząsają raz po raz podobne afery korupcyjne, reaguje na ostatni skandal, jak sam mówi, „z mieszanymi uczuciami". Z jednej strony apeluje do sądzących owq dwudziestkę ósemkę sędziów o surowość, wzywa ich, by nie pozprzestali na wyrokach „weekendowej odsiadki". Z drugiej strony stwierdza filozoficznie, iż *„żaden z kręgów naszej społeczności nie jest wolny od korupcji* i wykrycie tych skłonności w personelu sanitarnym *wzbogaca wspólne, budzące żal doświadczenie*. Czyste ręce bardziej są, jak widać, potrzebne tym, którzy kontrolują garnki i talerze niż tym, którzy je zmywają. Może dlatego nie tylko w Nowym Jorku łatwiej o solidnych zmywaczy niż uczciwych kontrolerów.

JACEK KNAB

OGŁOSZENIA DROBNE

SOSNOWIEC! Spółdzielcze M-5, 73 m², II piętro, telefon, garaż — zamienię na równorzędne lub większe, spółdzielcze lub kwaterunkowe w Nowosądeckiem. Sosnowiec, tel. 69-56-72. D-39059

GOSPODARSTWO, zabudowania, 1,9 ha — gmina Czchów — sprzedam. Oferty: 28825, redakcja TEMI, Tarnów Krakowska 1.

ORGANY elektroniczne. Wermony, wraz z aparaturą (wermony oraz estrady, mikokarnie) — sprzedam. Aleksander Jan Gołkowice Górne 111. D-39065

KIEROWCO PRZYJDŹ DO NAS!

WPK KATOWICE
Zakład Komunikacyjny nr 6 w Jaworznie
oferuje

DLA KIEROWCÓW AUTOBUSÓW

- ☆ — wysokie wynagrodzenie wg nowych (1988 rok) atrakcyjnych stawek osobistego zaszeregowania,
- ☆ — deputat węglowy w ekwiwalencie pieniężnym po cenach rynkowych,
- ☆ — nagrody jubileuszowe za 10, 15, 20 itd. co 5 lat,
- ☆ — bilet wolnej jazdy — również dla członków rodziny,
- ☆ — do 1 roku możliwość uzyskania samodzielnego mieszkania,
- ☆ — możliwość wyjazdu do pracy na kontrakt zagraniczny.

Zakład przeszkoli bezpłatnie kierowców posiadających kat. „C". Osoby bez zadnego prawa jazdy mogą zdobyć uprawnienia do prowadzenia autobusów tzw. „DM".

ZGŁOŚ SIĘ: Dział Sprawi Osobowych WPK ZK-6
32-510 Jaworzno, ul. Krakowska 9

Krakowska Fabryka Aparatów Pomiarowych „MERA-KFAP"
Zakład Zamiejscowy w Limanowej
ul. Tarnowska 1

zatrudni pilnie

25 TOKARZY

Wymagane wykształcenie zawodowe odpowiednie lub tytuł mistrza w zawodzie. Szczegółowe warunki pracy i płacy do uzgodnienia.
Oferty przymuje Dział Spraw Pracowniczych Limanowa ul. Tarnowska 1 tel. 371-713 w. 205

Samex

Bytom, ul.1 Maja 16 tel. 81-75-06 tlx 33610
przyjmie na bardzo korzystnych warunkach

DO SPRZEDAŻY:

- **telewizory Secam-Pal**
- **magnetowidy, odtwarzacze VHS**
- **zestawy sprzętu STEREO**
- **taśmy VHS, magnetofonowe**
- **kamery video, kalkulatory**
- **sprzęt kreślarski firmy ROTRING**

k-7656

,,ZIEMOWIT''
NAJWIĘKSZA — NAJNOWOCZEŚNIEJSZA — BEZPIECZNA
Kopalnia Węgla Kamiennego w Tychach-Lędzinach
ul. Pokoju 4, tel. 277-042 wewn. 56-53-54

CZEKA NA CIEBIE PRZYJMUJE STALE

mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat pracy pod ziemią

Przyjmowanym gwarantuje:
- atrakcyjne wynagrodzenie
- specjalne wynagrodzenie z Karty Górnika
- dodatek stabilizacyjny dla podejmujących po raz pierwszy pracę pod ziemią
- dodatek rozłąkowy
- deputat węglowy w wymiarze 8 ton rocznie dla pracowników utrzymujących rodzinę i samotnych prowadzących własne gospodarstwo domowe
- nagrody roczne tzw. 13 i 14 pensja oraz nagrodę z zysku
- nagrodę barbórkową w wysokości miesięcznego wynagrodzenia
- nagrody jubileuszowe za 15, 20, 25, 30, 35, 40, 45 i 50 lat pracy
- jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 100.000 zł dla pracowników, którzy zawarli związek po 1 LUTY 1982 roku.
- Pożyczka umarzana jest po pięciu latach nienagannej pracy.
- pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 100.000 zł dla pracowników podejmujących pracę pod ziemią na stanowiskach robotniczych z wykształceniem ponadpodstawowym w wieku do 35 lat.
- Pożyczka umarzana jest po 3-ch latach nienagannej pracy.
- możliwość podnoszenia kwalifikacji na kursach wewnątrzzakładowych oraz w technikum dla pracujących
- możliwość przejścia na emeryturę już po 25 latach pracy pod ziemią bez względu na wiek
- pracownikom zamiejscowym zapewniamy zakwaterowanie w Domu Górnika z całodziennym wyżywieniem ze znaczną dopłatą przez zakład
- możliwość wypoczynku w ośrodku wczasowym i kolonijnym nad morzem, w górach i na Mazurach

Przy Kopalni funkcjonuje Górnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa, która w krótkim czasie zapewnia uzyskanie mieszkania. Ponadto działa Młodzieżowe zrzeszenie Budowy Domków Jednorodzinnych, które udziela pomocy organizacyjnej i materiałowo-sprzętowej budującym się na terenach tych młodym górnikom kopalni.

CZŁONEK ZRZESZENIA OTRZYMUJE:
- bezpłatnie działkę budowlaną
- kredyt w wysokości 600 tysięcy złotych z zakładowego funduszu mieszkaniowego.
- **kredyt bankowy umarzany w 60% dla pracowników dołowych**
- spłatę odsetek z tytułu zaciągniętego kredytu bankowego.

Przy Kopalni istnieje także Zasadnicza Szkoła Górnicza, która przyjmuje młodzież w wieku od 15 do 18 lat do nauki w zawodzie górniczym.

Uczniom zapewnia się:
- wyżywienie, zakwaterowanie, umundurowanie
- pomoc materialną np. w zawodzie górnika

w klasie I	w granicach — 15.000 zł
w klasie II	w granicach — 17.000 zł
w klasie III	w granicach — 18.000 zł

- absolwenci po ukończeniu nauki w ZSG otrzymują jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 150.000 zł
- Pożyczka umarzana jest po 3-ch latach nienagannej pracy.
- wyróżniających się uczniów ZSG daje możliwość kontynuowania nauki w Technikum Górniczym przy Kopalni.

Wymagane dokumenty:
- dowód osobisty
- książeczka wojskowa
- legitymacja ubezpieczeniowa
- świadectwa pracy
- świadectwo szkolne

Nie przyjmuje się pracowników, którzy porzucili pracę lub zostali zwolnieni przez zakład bez wypowiedzenia.

SZCZEGÓŁOWYCH INFORMACJI UDZIELA DZIAŁ ZATRUDNIENIA KOPALNI.

Dojazd do Kopalni — od dworca PKP Katowice autobusami nr. 31, 95, 137

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka, (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, Telefony: 238-36, 238-90, Teleks: 0322748. Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wewn. 161, teleks: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch", na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

M-9

PIĄTEK — 12 VIII

PROGRAM I

8.50 Domator
9.00 Teleferie z kukułką
9.30 Kino teleferii — „Syn Czerela" (6)
10.00 DT — wiadomości
10.10 Kronika gospodarcza
10.25 „Pingus" (2) — „W ukryciu"
16.45 Program dnia
16.50 Mieszkać
17.15 Teleexpress
17.30 W starym kinie — „Królowa przedmieścia"
18.50 Dobranoc
19.00 Monitor rządowy
19.30 Dziennik
20.00 „Dalska podróż" — film prod. ang.
21.20 Żniwa '88
21.30 Czas — magazyn publicystyczny
22.05 Konwój
22.55 DT — komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 Polak w przyrodzie — reportaż
19.00 Rockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
19.30 Dookoła świata
20.00 Scena piosenki
20.25 Warsztaty jazzowe 88
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy z Jeanne Moreau — „Nieśmiertelna historia"
22.35 Wieczorne wiadomości
22.40 Studio sport
23.20 Telewizja nocą

SOBOTA 13 VIII

PROGRAM I

8.10 Tydzień na działce
8.40 Pikarska kadra czeka
8.55 Program dnia
9.00 „Pałac książąt" — baśń
10.30 DT — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Bellona — wojskowy magazyn publicystyczny
11.55 „Wyspa słońca" — film dok. prod. polskiej
12.35 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
13.05 A na polach żniwa
14.20 „Stary młyn", reż. Ireneusz Dulęba i Józef Wierzba
14.50 Antologia dramatu powszechnego: Aleksander Wampilow „Niezrównany Nakonieczniakow"
15.45 Gdzie są łaśmy z tamtych lat
16.15 Losowanie Dużego Lotka
16.25 Konwój
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem" (7) — serial
18.30 Butik
19.00 „Bolek i Lolek"
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 „Samotnik" — film fab. prod. francuskiej
21.45 Tydzień w polityce
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
22.25 Hit 88 — Lady Pank
23.15 DT-wiadomości
23.25 Anegdoty teatralne Igora Śmiałowskiego
23.30 Kino nocne — „Inspektor Bellamy" (7)
0.15. Zakończenie programu

PROGRAM II

14.55 Powitanie
15.00 Telewizyjny koncert życzeń
15.30 „Akcja OPEN" — serial ang.
16.35 Zbliżenia
17.20 Spektrum
17.50 Polska kronika filmowa
18.00 Kronika
18.30 Godzina z Romanem Wilhelmim
19.30 Alfa i Omega
20.00 „Idiota" — radziecki film baletowy, reż. F. Sidowkier
21.00 Studio sport — mistrzostwa Polski w lekkiej atletyce
21.30 Panorama dnia
21.45 Lata dwudziestele, lata trzydzieste: — „Zazdrość i medycyna" wg powieści Michała Choromańskiego, rez. Janusz Majewski
23.20 Wieczorne wiadomości

NIEDZIELA — 14 VIII

PROGRAM I

7.40 Program dnia
7.45 Po gospodarsku
8.15 Tydzień
9.00 „Słoń z indyjskiej dżungli" — film przygodowy prod radziecko-chińskiej
10.30 DT — wiadomości
10.45 „W królestwie owadów" (3) — serial
11.05 Zawiechą wśród Zawiercia (1)
11.35 7 anten
12.05 Kraj za miastem
12.35 Zajechał wóz do Zawiercia (2)
13.05 Telewizyjny koncert życzeń
13.55 Zajechał wóz do Zawiercia (3)
14.25 „Sześć dni po bitwie" — film
14.50 Polityka, polityka — program Andrzeja Bilika
15.20 „W kamiennym kręgu" (12 i 13) — serial
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport — mistrzostwa Europy juniorów w boksie
18.10 Marek Sierocki zaprasza
18.30 Antena
19.00 „Trzy misie"
19.30 Dziennik
20.00 „Komediantka" (2)

na ekranie

PROGRAM II

20.55 Sportowa niedziela
21.25 Korzeń
22.15 7 dni na świecie
22.30 DT — wiadomości
22.40 „W kamiennym kręgu" (12 i 13) — serial
0.35 Zakończenie programu

PROGRAM II

9.30 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
10.05 „Komedjantka" (2) — serial
11.00 Peryskop
11.30 Lokalny koncert życzeń
11.35 Jutro pomidorki
12.20 Sztuka ogrodowa w Polsce
12.50 Zwierzęta świata — film
13.20 100 pytań do generała Zenona Trzcińskiego
13.50 Bliżej świata
15.20 W pogoni za „Dziewiątką" — reportaż
15.50 Czarne korzenie cywilizacji Egiptu (1) — program filmowy
16.15 Chopiniana — recital na zamku Ujazdowskim, gra Janusz Majewski
16.45 Kino-Oko
17.45 Opowieści Michaiła Zoszczenki
18.00 50-tka pana Janka
19.00 Tadeusz Kantor — Moja historia sztuki
19.30 Galeria „dwójki" — Jacek Sienicki
20.00 Studio sport — mistrzostwa Polski w lekkiej atletyce — Grudziądz 88
21.00 Sensacje XX wieku
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dallas" (3) — serial
22.35 Wieczorne wiadomości
22.40 Gawędy Juliusza Lubicz-Lisowskiego

PONIEDZIAŁEK — 15 VIII

PROGRAM I

17.00 Program dnia
17.05 Człowiek dla człowieka — magazyn PCK
17.15 Teleexpress
17.30 „Tajemnica Enigmy" (7) — serial
18.30 Piknik country — Mragowo 88
19.00 „Pak leczyć węża"
19.00 Echa stadionów
19.30 Dziennik
20.00 Teatr TV spektakl na bis Witold Gombrowicz „Ferydurdke"
22.10 Żniwa 88
22.25 Śladami pierieistrojki (3) — „Arlekino i inni..."
22.45 DT — komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.20 Antena „dwójki" na najbliższy tydzień
19.00 Cohan — reportaż
19.30 Polskie koncerty na instrumenty dęte
20.00 Kogel-magiel — program rozrywkowy
21.00 Ciężarowcy
21.30 Panorama dnia
21.45 Dalekie a bliskie
22.10 „Romanza finale" (2) — film
23.00 Piosenka aktorska
23.30 Wieczorne wiadomości

WTOREK — 16 VIII

PROGRAM I

8.50 Domator — spacery, podróże i kąpiele słoneczne
9.00 Krąg — magazyn harcerzy
9.30 „Samochodzik i Templariusze" (3) — serial
10.00 DT — wiadomości
10.10 DT — reforma gospodarcza
10.25 „Złote obrączki" (3) — serial
16.50 Program dnia
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy
17.15 Teleexpress
17.30 „Król puszczy" — film
18.20 Flesz — program muzyczny
18.50 „Leśni przyjaciele"
19.00 Kram
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 „Złote obrączki" (3) — serial
21.00 Dzwon z Czarnobyla — program dokumentalny
22.40 DT — komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 Ojczyzna-polszczyzna
19.00 Magazyn 102
19.30 Studio sport
20.00 Muzyczne wizyty — Takahiro Sekija Japonia
20.45 Leningrad — reportaż
21.00 Kalejdoskop taneczny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Piękne dzielnice" (2) — serial
23.10 Wieczorne wiadomości
23.15 Rozmowy intymne

ŚRODA — 17 VIII

PROGRAM I

8.50 Domator
9.00 „Tato, już lato"
9.30 „Szagma albo zagnione światy" (24)
10.00 DT — wiadomości
10.10 „Trzy dni na rozmyślanie" (2) — film
17.00 Program dnia
17.05 Losowanie Express i Super Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 „Ginąca przyroda" (8)
18.00 Spotkanie z pisarzem — dziś Wasyl Bykow
18.35 Laboratorium
18.50 „Miś Uszatek"
19.00 Kalejdoskop, my i świat
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 Sopot '88 — konkurs o Grand Prix festiwalu w przerwie ok.
21.35 Żniwa 88
23.25 DT — komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 Studio sport — Klub Olimpijczyka
19.00 Magazyn 102
19.30 Koncert z Żelazowej Woli
20.00 Program publicystyczny
20.30 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Historia pewnej miłości" — film
23.10 Wieczorne wiadomości
23.15 Studio sport

CZWARTEK — 18 VIII

PROGRAM I

8.45 Domator
8.55 „Bajka o gwiezdnym chłopcu" (1) — film
10.00 DT — wiadomości
10.10 „Sprawy miasta Zemana" (7) — serial
17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 Kinomania — magazyn publicystyczno-kulturalny
18.25 Za każdy kamień twój — wojskowy program publicystyczny
18.50 „Pająk Chwat wszystkich brat"
19.00 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 Sopot '88 — konkurs o Grand Prix festiwalu w przerwie ok.
21.30 Pegaz
23.20 DT — komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 ABC... — teleturniej językowy
19.00 Pionierki Leo Ferra
19.30 Międzynarodowe zawody w woltyżerce — Zbrosławice (2)
20.00 Stolice krajów socjalistycznych — Budapeszt
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wakacje z Madonną" — film
23.10 Wieczorne wiadomości

(CIĄG DALSZY ZE STR. 16)

Jakie to zastanawiające — dodał po chwili milcząc — że nawet ludzie na tak wysokich stanowiskach lubią patrzeć, jak inni wykonują zawodowe przez nich zbrodnie. Ale zanalizujmy jeszcze raz sytuację. Jutro o godzinie dziesiątej rano prezydent opuści Biały Dom, wyjeżdżając pokonferencjami. To znaczy, zrobi to, jeżeli ja go od tego nie powstrzymam. Mamy więc już tylko siedemnaście godzin czasu i jedną tylko szansę. Otóż nasi ludzie znaleźli wreszcie banknot z odciskami palców pani Caseli kis. Był dwudziesty drugi. Mieliśmy trochę szczęścia. Pozostało jeszcze sześć banknotów i praca nad nimi nie mogłaby być zakończona wcześniej niż jutro o dziesiątej rano. Na banknocie znajduje się kilka innych odcisków palców. Laboratorium będzie nad nimi pracowało przez całą noc. Myślę, że wrócę do domu gdzieś koło północy. Jeżelibyś miał jakieś wiadomości, dzwoń. Jutro o ósmej piętnaście zjawisz się tutaj. Właściwie to nie masz już prawie nic do roboty. Ale nie zamartwiaj się tym. Dwudziestu moich ludzi pracuje nad tą sprawą, chociaż żaden z nich nie zna wszystkich jej szczegółów. Zapewniam cię, że nie puszczę prezydenta na teren Kapitolu, jeżeli przedtem nie przymkniemy tych zbrodniarzy.

W takim razie do jutra do ósmej piętnaście — powiedział Mark.

— I jeszcze jedno, Mark. Bardzo cię proszę, żebyś się dzisiaj nie spotykał z doktor Dexter. Nie chciałbym, żeby w ostatniej chwili cały nasz wysiłek poszedł w diabły, i to z powodu twoich romansów. Nie miej mi tego za złe.

— Ależ, skąd.

Mark wyszedł. Czuł się w gruncie rzeczy zupełnie niepotrzebny. Skoro dwudziestu agentów FBI pracuje nad tą sprawą, to po co dyrektor Dexter nic mu przedtem nie mówił? Dwudziestu ludzi, usiłujących stwierdzić, czy to Duncan, czy Dexter, dwudziestu ludzi chodzących na ślepo. I tylko on i dyrektor znają całą prawdę, przy czym, prawdopodobnie, dyrektor wie znacznie więcej. Trzeba chyba rzeczywiście zrezygnować z zobaczenia się z Elizabeth do jutra wieczór. Nie, to niemożliwe. W drodze do gmachu Dirksena po pozostawione tam protokoły zastanawiał się nad konsekwencjami niesubordynacji wobec dyrektora. Kiedy wszedł do hali, poczuł nieprzepartą chęć zatelefonowania do niej. Musi usłyszeć jej głos, musi się dowiedzieć, jak ona się czuje po wczorajszym. Podszedł do numer szpitala.

— Pani doktor poszła do domu.

— Dziękuję — odparł, wykręcił jej domowy numer i pocał, że serce wali mu jak młotem.

— Elizabeth!

— Tak.

Jak dziwnie brzmiał jej głos. Czyżby była zmęczona? Zziębnięta? Przerażona czymś? Tysiąc pytań cisnęło mu się do głowy.

— Czy mogę do ciebie zaraz przyjechać?

— Tak. — usłyszał stuk odkładanej słuchawki.

Wyszedł z budki telefonicznej. Ręce miał spocone, policzki płonące. Pozostało mu tylko jeszcze jedno zadanie do spełnienia przed spotkaniem z Elizabeth. Iść po te cholerne protokoły z zebrań komitetu. Ostatecznie ustalić, kto był gdzie i kiedy.

W drodze do windy zdawało mu się, że słyszy za sobą kroki. Oczywiście, przecież szło za nim mnóstwo ludzi. Nacisnął guzik windy i obejrzał się za siebie. Wśród tłumu urzędników, kongresmenów i ciekawskich zobaczył dwóch mężczyzn, którzy najwyraźniej go obserwowali. A może go chronią?

Trzeci człowiek w ciemnych okularach studiował plakat. Na pewno agent, pomyślał Mark. Ma nawet bardziej charakterystyczny wygląd niż tamci dwaj.

Dyrektor powiedział, że przydzielił do tej sprawy dwudziestu ludzi. Czyżby z tych ludzi był gostrzegło? Jasny gwint! Za chwilę odprowadzą go pod dom Elizabeth i natychmiast doniosą dyrektorowi. Postanowił im się wymknąć. Musi się z nią zobaczyć. Jest to absolutnie konieczne. A mimo to tego. Zgubić ich, wszystkich trzech. Musi się z nią zobaczyć spokojnie, bez nerwów, bez świadków. Czekał na jedną z dwóch windzi, zamawiając się, która nadejdzie szybciej i obmyślając plan akcji. Dwaj mężczyźni zaczęli się już do niego zbliżać, ten trzeci spod plakatu nie ruszał się. Może nie był wcale agentem. Ale wydawał się dziwnie znajomy. Była dokoła niego jakaś charakterystyczna aura. Jeden agent pozna drugiego z zamkniętymi oczami.

Mark skoncentrował się na windach. Wreszcie nad prawą zapalił się strzałka, a jej drzwi rozsunęły się. Wszedł szybko do środka i stanął twarzą do wyjścia. Dwaj mężczyźni także weszli i stanęli za nim. Trzeci, ten spod plakatu, też ruszył ku windzie, której drzwi zaczęły się zamykać. Mark nacisnął guzik i drzwi otworzyły się z powrotem. Niech wejdzie, niech będą wszyscy na jednym miejscu! Ale tamten nie ruszył się. Stał i jak gdyby czekał na drugą windę. Może nie chciał jechać do góry, ale na dół i wcale nie był agentem. Chociaż Mark gotów był przysiąc... Drzwi znowu zaczęły się zsuwać, a Mark w ostatniej niemal chwili wyskoczył. Jeden z pilnujących go ludzi, O'Malley, zdążył za nim, ale jego partner pozostał w środku i nolens volens musiał pojechać aż na ósme piętro.

(ciąg dalszy za tydzień)

Corrida w ... kołchozie

Od dłuższego czasu lokalna gazeta „Brańskij Rabocżij" nawoływała do umiaru w rozsiewaniu z samolotów nawozów sztucznych. Niestety, mało skutecznie. Ustawiczne „nalety" w okolicy Briańska nękały rolników i bydło z pobliskiego kołchozu. Aż pewnego dnia przebrała się miarka. Piloci właśnie udali się na odpoczynek, zostawiając naszynę na polu. Traf chciał, że akurat wracało tędy stado bydła, którego przewodził, być o dumnym imieniu Bohater, na widok żelaznego ptaka wpadł w szał i stoczył z nim zaciekłą walkę. Prasa nie podaje, czy byk był aż tak silny, czy też winna była niska jakość konstrukcji samolotu, w każdym razie faktem jest, że następnego dnia piloci dostali urlopy aż do odwołania.

Nowość

Niedawno na rynku RFN pojawiły się prezerwatywy dla kobiet. Prezerwatywa umieszczana w pochwie jest pomysłem małżeństwa lekarzy z Danii. Wykonano już badania w RFN, które dowodzą, że prezerwatywy dla kobiet dają o wiele większe gwarancje niż te dla mężczyzn. 60 proc. mężczyzn i 80 proc. kobiet uczestniczących w eksperymencie testowania nowego środka antykoncepcyjnego stwierdziło, iż nowe rozwiązanie jest bezsprzecznie lepsze. Wstępne sondaże świadczą, że w RFN można sprzedać 4 mld sztuk tych prezerwatyw. Oprócz rynku duńskiego i zachodnioniemieckiego zainteresowany jest jeszcze nimi ogromny rynek brytyjski.

Więzy krwi

Dwu młodym matkom z Puerto Rico los spłatał niemiłego figla. Trzy lata temu urodziły one w tym samym czasie i w tej samej klinice po dwie dziewczynki-bliźniaczki (jak się później okazało, jednojajowe). Wskutek niedopatrzenia pielęgniarek dwie z nich zamieniono. Dzieci rosły i z pozoru wszystko wydawało się przebiegać normalnie. Jedynie intuicyjnie matki wyczuwały, że coś nie jest w porządku.

Przypadek sprawił, że pewnego dnia siostra jednej z matek usłyszała idącą naprzeciw młodą kobietę prowadzącą za rączki dziewczynki, jedna — wypisz-wymaluj jak jej siostrzenica. Zaczęły się poszukiwania. Wreszcie doszło do spotkania rodzin, w czasie którego dały o sobie znać więzy krwi — prawdziwe bliźniaczki objęły się szczęśliwe i rzuciły w ramiona swych własnych matek.

Po przeprowadzeniu analiz krwi, które potwierdziły przypuszczenie o pomyłce, rodziny postanowiły dla dobra dzieci wymienić się córkami. Dziewczynki zniosły zamianę dużo lepiej niż ich rodzice i szybko przyzwyczaiły się do nowych imion, które matki nadały im jeszcze w szpitalu.

KRZYŻÓWKA NR 30

POZIOMO: 1) symbol odradzania się, powstawania z popiołów, 5) przełęcz w Tatrach Wysokich, 8) jedno ze świadczeń pańszczyźnianych, 9) lekki pojazd typu bryczki, 10) zrzut, 11) sprężyna w zawieszeniu pojazdu, 12) dział zarządu państwowego, 15) stan na pn. zach. krańcu Ameryki Pn., 18) sproszkowany tytoń, 21) lampa elektronowa, 24) pierwszy okres paleozoiku, 26) przyrząd optyczny, 27) w Polsce żyje tylko w Tatrach, 28) drzewo o drewnie lżejszym od korka, 29) lana o długiej, cienkiej sierści, 30) jedno z największych miast starożytnego Wschodu, okresowo stolica Asyrii, obecnie ruiny koło Mosulu

PIONOWO: 1) asceta muzułmański, 2) stan na pn. zach. USA, 3) początek wyścigu, 4) pięciarstwo, 5) drzazga, 6) rzymska bogini ogniska domowego, 7) materiał na pieluszki, 13) okres obejmujący pewne stadium dziejów, 14) 365 dni, 16) wlaz, 17) szyfr, 18) kibić, 19) np. cyrkowa, 20) zatoka Morza Czerwonego, 21) Franciszek Smrzeczyński, 22) 12 sztuk, 23) roślina ozdobna, 25) jednostka długości.

Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 19 sierpnia br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 28

POZIOMO: 1) sakra, 4) ekran, 7) zuber, 10) slang, 13) rak, 14) Ada, 15) ohm, 16) Diana, 17) obawa, 18) rekin, 19) ruten, 20) dog, 21) DNA, 22) ind, 23) klasa, 26) astma, 29) tetra, 32) zenit, 36) Don, 37) raptularz, 38) Iga, 39) trias, 42) seraj, 45) tojad, 48) strop, 51) łęk, 52) ale, 53) ryt, 54) radło, 55) argus, 56) magia, 57) aplit, 58) iwa, 59) rad, 60) Oka, 61) słolk, 62) renta, 63) aktyn, 64) graca.

PIONOWO: 1) Sajdak, 2) kurara, 3) arkada, 4) ekloga, 5) rybalt, 6) narada, 7) Zawrat, 8) birkut, 9) rodnia, 10) smardz, 11) aceton, 12) granat, 24) lider, 25) sonda, 27) serce, 28) mapka, 30) Erato, 31) róga, 33) Egipt, 34) ciągnąć, 35) ser, 39) termos, 40) indygo, 41) słowik, 42) skalar, 43) region, 44) jaskra, 45) Temida, 46) jogurt, 47) Drakon, 48) stalag, 49) ruleta, 50) patera.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 28, drogą losowania nagrody otrzymują: **Stanisław Rębiasz** z Nowego Sącza i **Władysław Worytko** z Rabki.

HOROSKOP

BARAN: jeszcze możesz wszystko odmienić, dużo więcej zyskać, niż się teraz zapowiada — bądź tylko konsekwentny i otwarty, to powinno wystarczyć.

BYK: teraz najważniejsze sprawy będą działy się w rodzinie — dość istotne zmiany i nowe osoby, bądź dobrej myśli.

BLIŹNIĘTA: zwykle ten wygrywa, kto potrafi czekać na właściwy moment — a ty chcesz wygrać i potrafisz być cierpliwy, nie prowokuj więc nowych wydarzeń.

RAK: w tej sytuacji lepiej będzie od razu podjąć decyzję, nie bój się przegrane, myśl jak zapewnić sobie sukces — możesz liczyć na najbliższych przyjaciół, teraz dopiero ich docenisz.

LEW: najbardziej jest ci potrzebny spokój, zdobądź się na dystans do wydarzeń, które dotyczą twojej osoby — ten martw się, twoje talenty zostaną i tak docenione.

PANNA: musisz rozważyć swoje możliwości, ustalić na co cię stać — pamiętaj, że nadmierny krytycyzm może wszystko popsuć.

WAGA: dość skomplikowany okres, możesz mieć skłonności do apatii, wycofywania się, chęć ucieczki od trudnych spraw — nie to nie pomoże, raczej pogmatwa twoje losy.

SKORPION: planuj dalekozwrocznie, bilansuj zyski i straty, nie działaj impulsywnie — może okazać się wtedy, że masz idealne warunki, by spokojnie zrealizować swoje cele, te duże i te mniejsze.

STRZELEC: nieporozumienia z kimś bliskim będą dla ciebie zaskoczeniem, nie bardzo będziesz mógł zrozumieć, o co naprawdę chodzi — ciepło w sercu, ciepło z twej strony mogą szybko rozładować sytuację.

KOZIOROŻEC: nie daj sobie wytłumaczyć, że powinieneś obrać inną strategię, bądź konsekwentny i polegaj na sobie — kłopoty szybko miną, okaże się, że masz przed sobą realne do osiągnięcia bardzo atrakcyjne cele.

WODNIK: bądź życzliwie nastawiony do ludzi, naucz się cieszyć drobnymi sukcesami, zachowaj dobry humor — ułatwi ci to postępowanie w najbliższym czasie, pomoże zyskać sojuszników.

RYBY: ten czas powinieneś maksymalnie wykorzystać, nie bój się niespodzianek, mogą być dla ciebie pomocne w realizacji postawionych celów — będziesz z siebie zadowolony, może to wpłynie na poprawę twojej samooceny.

JEFFREY ARCHER (47)

CZY POWIEMY PREZYDENTOWI?

(tłum. Stefan Wilkosz)

Poprzez następne otwarte drzwi widziało się nakryte świeżymi obrusami stoliki, wazony z kwiatami, jednym słowem pełny luksus. Dobrze ubrana pani w średnim wieku stanęła w progu.

— Czym mogę panu służyć? — spytała, unosząc lekko brwi.

— Zbieram materiał do doktoratu na temat pracy senatorów — oświadczył Mark, wyjmując z portfela legitymację Yale. Pokazał ją kierowniczce sali, zakrywszy datę ważności kciukiem.

Kierowniczka nie wykazała większego zainteresowania.

— Chciałbym tylko rzucić okiem na jadalnię senatorów, zobaczyć, jak jest urządzona, wchłonąć w siebie atmosferę — bajerował Mark.

— Teraz w jadalni nie ma nikogo. W środę o tak późnej porze mało kto do nas zachodzi. Senatorowie jeżdżą przeważnie na czwartek, piątek i sobotę do swoich okręgów wyborczych. Chociaż dzisiejszy dzień jest o tyle wyjątkowy, że toczy się końcowa debata w sprawie ustawy o kontroli broni i kilku członków Komitetu Prac Ustawodawczych musi pozostać w mieście.

Markowi udało się przesunąć na środek pokoju. Sprzątająca jeden ze stołów kelnerka uśmiechnęła się do niego zalotnie.

— Czy senatorowie płacą gotówką, czy też raczej podpisują rachunki?

— Prawie wszyscy podpisują rachunki i płacą globalnie pod koniec każdego miesiąca.

— Czy pani to jakoś księguje?

— Owszem. Codziennie wpisujemy każdą pozycję do tej księgi.

Wskazała ręką grube, czerwone tomisko, leżące na biureczku. Mark wiedział, że kluczowego dnia dwudziestu trzech senatorów jadło tutaj obiad, tyle powiedziały mu ich sekretarki. A może jeszcze jakiś senator spożywał tu obiad owego dnia i wcale nie zawiadomił o tym swojej sekretarki? Czuł, że jest o krok od stwierdzenia przynajmniej tego faktu.

— Czy mogłabym mi pani pozwolić obejrzeć rachunki za typowy dzień? — uśmiechnął się do kierowniczki.

— Nie jestem pewna, czy mam do tego prawo.

— Rzuciły tylko okiem? Chciałbym, żeby moja praca miała jak najwięcej autentycznych szczegółów.

Spojrzał błagalnym wzrokiem na tę wyniosłą kobietę.

— No dobrze — mruknęła wreszcie. — Ale szybko.

— Weźmy pierwszy lepszy dzień. Na przykład dwudziesty szósty lutego.

Otworzyła księgę i zaczęła wertować kartki.

— To był czwartek — oświadczyła. Odczytała nazwiska: Stevenson, Muskie, Moynihan, Heinz, Dole, Harfield, Byrd. A więc Byrd jadł tego dnia obiad w Senacie. Bayh także. Jeszcze kilka nazwisk. Church, Reynolds, McGovern i Thornton — co oznacza, że jego dzisiejsze oświadczenie dla prasy było prawdziwe. Brakowało Duncana. I Dextera. Kierowniczka zamknęła księgę.

— Widzi pan, że nie ma tu nic ciekawego — powiedziała.

— Rzeczywiście — potwierdził Mark i podziękowawszy jej uprzejmie, pospiesznie wyszedł z restauracji.

Na ulicy zatrzymał taksówkę. To samo zrobił jeden z trzech idących za nim krok w krok mężczyzn. Dwaj pozostali poszli po swój samochód. W kilka minut później taksówkarz wysadził Marka przed gmachem Biura. Zapłacił mu za kurs, pokazał strażnikowi legitymację i pojechał na siódme piętro. Pani McGregor uśmiechnęła się do niego. Dyrektor był widocznie sam. Zapukał do drzwi jego gabinetu i wszedł do środka.

— No i co?

— Byrd, Bayh i Thornton nie są w to zamieszani.

— Dwaj pierwsi nigdy nie byli dla mnie szczególnie podejrzani — powiedział dyrektor. — Thornton jednakże stanowi miłą niespodziankę. Na jakiej podstawie skreśliłeś go, Mark?

Mark opowiedział o swoim pomyśle z restauracją senacką i od razu zaczął się intensywnie zastanawiać nad tym, czy czegoś nie przegapił.

— Powinieneś był wpaść na to dobre trzy dni temu, nie uważasz?

— Chyba tak.

— I ja też — dodał dyrektor. — Pozostają nam więc już tylko Duncan i Dexter. Może zainteresuje cię to, że obydwaj ci panowie zamierzają pozostać przez jutrzejszy dzień w Waszyngtonie i że zapowiedzieli swoją obecność na uroczystości na Kapitolu.

(CIĄG DALSZY NA STR. 15)